http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

(ŚWIAT I FINANSE.)

WINCENTY HR. ŁOŚ

ZIĘCIOWIE

DOMU „KOHN ET CIE“

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

TOM II.

LWÓW.
NAKŁAD KSIĘGARNI G. CENTNERSZWERA.
Warszawa, Marszałkowska 147.
Z Drukarni „Dziennika Polskiego.“
1892.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I.

Działo się to w drugiej połowie lutego. Niespełna rok minął od ślubu Łęckiego.

Raut u hrabiny Korońskiej miał otworzyć sezon postnych zabaw.

Raut pierwszy w jej pałacu, bo hrabina od niedawna dopiero powróciła z Paryża, gdzie spędziła pół jesieni i zimy.

Świat oczekiwał z niecierpliwością tego wieczora i ciekawy był, jaką tego roku względnie do finansów zajmie pozycję matka Karola, który od ślubu Łęckiego w finansach bywał.

Mówiono nawet, że Koroński starał się o młodszą Kohnównę, ale nikt temu wiary nie dawał i wliczano to między małe światowe infamje, które jedni na drugich w salonach rzucać lubią.

Około południa hrabina wyszła ze swej sypialni do buduaru.

Ubrana była w jedwabny ciemno czerwony szlafrok z koronkami *crème*.

Usiadła na szezlongu i przysunęła sobie porcelanowy talerz, na którym leżało kilka listów i biletów.

http://rcin.org.pl

Przeglądała je i zdawała się być głęboko zamyśloną.

— Czym kogo nie zapomniała? — szeptała. Uchwyciła niebieski pluszowy karnecik i odczytała sobie wypisaną w nim ołówkiem listę zaproszonych na jej pierwszy raut.

— Zdaje się, że dobrze, żem nikogo nie zapomniała — mruknęła.

W tem w przyległym salonie na miękim dywanie dały się słyszeć kroki.

Wkrótce uchyliła się portjera i w fałdach jej stanął młody hrabia.

Jego elegancka i dystyngowana postać występowała korzystnie na tle pluszu.

Wyglądał znacznie starszym, niż rok temu.

Rysy jego się nieco wyciągnęły, twarz zbladła i utyła.

Hrabina się uśmiechnęła, a Karol ucałowawszy jej rękę, usiadł obok niej na taborecie i pociągnął ręką po czole, jakby był zmęczonym, czy słabym.

— Wczoraj wróciłeś późno? Czekałam na ciebie do północy.

— U Kohnów było dość zabawnie — odparł młody hrabia — zebrało się towarzystwo dość liczne i wesołe.

Hrabina czegoś w karneciku szukała, a Karol po pauzie zagadnął:

— Sądzę, że już nadeszła chwila *du coup de maitre*. Kohnowie są wściekli, żeś u nich dotąd nie była. Spodziewali się tego po powrocie mamy z za granicy. Raut dzisiejszy bez nich jest dla nich formalną katastrofą. Docinają mi i wyglądają do najwyższego stopnia rozdrażnieni.

http://rcin.org.pl

Trzeba zresztą skończyć! na cóż czekać? dyplomacja nasza wyprężyła już dostatecznie sytuacją.

Hrabina się uśmiechnęła cicho, a Karol zaśmiał się głośno i dodał:

— Gdyby dziś Kohnowi zaproponowano, aby dał czterykroć sto tysięcy za zaproszenie na dzisiejszy raut do nas, kto wie, czyby ich nie dał, choćby bezemnie, jako zięcia.

— Nie mówiłam ci zawsze — podchwyciła hrabina, wąchając sole z flakonika — że podstawą wszystkich nadzwyczajnych pozycyj salonowych jest maltretowanie?

— Zapewne!

— Gdybyśmy byli finanse do siebie wpuścili, czyżby dziś Kohnowie marzyli o mojej wizycie, lub mojem zaproszeniu i czyby cokolwiek za nie dali?

— *Vous étéz un genie mondain, ma chère maman!*

— Więc znajdujesz — ciągnęła dalej matka — że nie ma co dalej zwlekać i że... powinieneś się już oświadczyć, a ja powinnam otworzyć Kohnowi moje salony.

— Chyba! — odparł krótko Koroński — cóż będziemy czekać, aż się interesa nasze znów wyprężą i stan ich głośnym stanie. Kohn, sądzę, dziś da, co zechcemy, za zięcia hrabiego Korońskiego. Kto wie, *s'il ne ferait pas des façons*, gdyby nas świat ogłosił za bankrutów. Wczoraj rozmawiałem z naszym adwokatem.

— Cóż mówi?

— Mówi, że ostatnia chwila, abym się ożenił.

http://rcin.org.pl

Hrabina zamyśliła się, podnosząc oczy na sufit i błądząc po nim niemi.

— Sądziłam — westchnęła — że się lepiej ożenisz.

— Kohnównę rachują na miljon. Bywalski twierdzi, że Kohn na stół położy czterykroć, prócz dwukroć pożyczonych.

— Boję się tylko — wtrąciła matka — czy się nie łudzisz. Łęcki wziął. .?

— Ah! mamo! — obruszył się hrabia — Łęcki był głupim. Łęcki się zakochał. Łęcki byłby wziął darmo pannę Kohn... My? my co innego!

Nastała długa chwila milczenia, którą przerwał Karol.

— Raz, gdy postanowimy to małżeństwo wypada, aby droga mama u Kohnów była.

— Nigdy wcześniej odparła zaraz hrabina — aż wszystko będzie ułożone. Moglibyśmy skompromitować się na wieki! U Kohnów raz pierwszy będę, gdy wszystko między tobą a Kohnem będzie ułożone i omówione. Kohnowie raz pierwszy zajdą do mego salonu, gdy ty będziesz zaręczonym, a warunki podpisane.

— Czy to...? — chciał przerwać Karol, ale hrabina mu nie pozwoliła mówić, tylko ożywiając się, dalej ciągnęła.

— Sam mówisz, że Kohn by dał za dzisiejszy raut...

— O niezawodnie!

— A więc raz gdyby na nim był, o tyle mniej...

— Zapewne! jesteś mamo genjuszem! więc

http://rcin.org.pl

działaj! Ja sądzę, że już czas — zawołał Karol, całując ją w rękę.

— Raz, przypominam sobie — mówiła dalej hrabina tonem opowiadania — zjawił się w Paryżu markiz *de Villamar*, na bal, ożeniony z kobietą, nie mającą swych szesnastu *quartiers*. Napoleon wtedy starał się o pożyczkę prywatną dziesięciu miljonów; Villamar insynuował, że jej chętnie by udzielił, jeśliby cesarzowa poznała się na grzeczności i zamianowała jego żonę damą honorową. *La marquise était tres bien* Cesarzowa, która była zawsze tak szlachetną i prawdziwą wielką damą, uczyniła to, zanim pożyczka była wypłaconą. Wystaw sobie...

— Villamar nie dał dziesięciu miljonów — zaśmiał się hrabia.

— Zaczął robić trudności — kończyła hrabina — i pożyczka do skutku nie przyszła. Wtedy Mercy widząc na pokojach cesarzowę zawołał: „*Madame, une heure trop tôt*, zrobiłaś tę grzeczność.“ To „*une heure trop tôt*“ stało się przysłowiem w wszystkich podobnych wypadkach na dworze Eugenji. Tu mogło by nastąpić to samo, czyż nie?

— Zapewne! zapewne! — zawołał wstając hrabia — *nous ne pouvons pas exiger que papa Kohn soit plus dżentelman que Villamar!*

Zaśmiał się nerwowo, zapalił papierosa i zaczął chodzić po pokoju.

Hrabina tymczasem dumała. Po chwili zawołała:

— Jeśli sądzisz, ze ostatnia chwila nadeszła, to nie ma co zwlekać. Trzeba działać! Poślij po Bywalskiego!

http://rcin.org.pl

Karol chciał się wysunąć, gdy matka jego dodała:

— Ale wracaj zaraz. Musimy ułożyć jaką nawet przed Bywalskim odegramy komedję. *Il est fin mais pourtant je suis plus fine que lui.*

— Wrócę natychmiast!—odparł Karol i wyszedł.

Hrabina otworzyła złotą bombonierkę z czekoladkami i połykając jednę po drugiej, myślała nad czemś głęboko.

— I ja — szeptała sama do siebie — ja przyjaciółka Eugenji, ja.. muszę sobie łamać głowę, jak zdobyć Kohnównę za synowę, tego nigdy nie przypuszczałam...

Długo milczała, po chwili znów dodała:

— Ha! któż mógł przypuszczać, że w Polsce miljon jest białym krukiem... Trzeba było siedzieć w Paryżu... choć i tam po rozbiciu *du second empire...*

Znów się zadumała i znów szepnęła.

— *Que faire!* przecież nie mogę namawiać Karola na małżeństwo, *avec une fortune de rien dutout...* W świecie dwakroć *c'est immense... Kohn... ca sonne aussi bien que Blanc..* Bonaparte mógł... Karol może...

Myślom hrabiny tamę położył powrót do buduaru syna, który zawołał:

— Napisałem, aby zaraz przychodził. Przyjdzie, bo on zwykle dopiero po pierwszej wychodzi.

— Pamiętajże więc — odezwała się hrabina — że ja o niczem nie wiem i dopiero, jak ci mówiłam, od Bywalskiego, którego ty do mnie

http://rcin.org.pl

przyślesz, dowiem się o istnieniu na świecie Kohnów.

Hrabia przerwał.

— Boję się tego. Bywalski jest bardzo sprytny...

— Wierzaj mi — odparła z uśmiechem pani Korońska — że kobieta ma w palcu więcej sprytu, niż mężczyzna w głowie. *L'homme le plus fin, que j'ai connu* był *Morny*, a ileż razy go wyprowadziłam w pole. Gramy... szczęśliwie *gros jeu*, a w grze to wszystko zawisło, mówią gracze, od komedji. Pamiętasz barona de Meduza, na aktora wyglądał. Mówiono, że miał zawsze minę szalenie przegrywającego, gdy szalenie wygrywał i odwrotnie. *C'etait le plus beau joueur de mon temps*

Hrabia przypatrywał się z uwielbieniem matce i słuchał uroczej melodji jej słów potoczystych i uderzająco dźwięcznych.

Ona dalej ciągnęła:

— Najgorszą stroną w tem wszystkiem jest świat, bo powiedzą, dowiadując się, że to sanctuarium, jakie w Warszawie stworzyłam, szczelnie zamknięte, jak jaki salon Maltański przed inwazją *dès parvenus*, otworzyłam Kohnom, *pour les laisser entrez avec ma belle fille.*

— Świat tego gotów pomnie nigdy nie wybaczyć, wygląda to na zal[illegible]ienie sobie z niego. Mnie, a młodzież przebac[illegible] nie może, że bywam, bywam tylko u Kohn[illegible].

— Mój drogi — przerwała hrabina — świat był i zawsze będzie zbiegowiskiem *des sots*, których sprytni do swych celów naginają i za scenę, w swych osobistych planach, uważają. Zape-

http://rcin.org.pl

wne, że będzie silne wzburzenie, na razie. Później powiedzą: „a to nas użyła“ „Już się więcej tak złapać nie damy“, będą wołać właśnie w chwili, gdy ktoś inny będzie *en train* manierowania nimi. To jest świat. O mnie mi nie chodzi, bo raz ożeniwszy ciebie, wyniosę się za granicę. Nie mogę się przyzwyczaić do Warszawy. Począwszy od bruków, wszystko tu niemożliwe. Chodzi mi o ciebie. Abyś ty nie padł ofiarą zemsty świata, którego dobrej wiary i.. głupstwa nadużyliśmy.

— O mnie! — wykrzyknął Karol — kpić sobie będę ze wszystkich, raz gdy będę miał zapewnione odpowiednie mi materjalne stanowisko. Dzisiaj pieniądz daje wszystko. Z posagiem Leny będę przecież jednym z bogatszych ludzi w Polsce. Bunt jednostek cóż może mnie obchodzić, gdy nawet ich min oglądać nie będę miał czasu między gala ob adem a balem, po powrocie z Paryża, a przed wyjazdem do Ostendy.

— *Tu as raison!* Cóż Bonaparte robi sobie z min Orl-anów na jego małżeństwo? — wtrąciła hrabina.

— Zresztą — ciągnął dalej Karol — Kohn gromadzi u swego stołu wcale arystokratyczne kółko Dlaczegóżby lepszem nie miał się otoczyć Koroński, ożeniony z Kohnówną?

— Jednakże — podchwyciła hrabina — dla świata trzeba wymyślić *une excuse*, która by dowodziła, że cała moja w Warszawie przelotna *attitude* nie była dyplomatyczną, do celu dążącą kombinacją. Chciałabym...

— Ah! — przerwał Karol — jeśli o to chodzi, to powie mama, *vous ferez souentendre*, że

http://rcin.org.pl

jestem wyrodnym Korońskim, który u schyłku dziewiętnastego wieku idzie z prądem epoki. Wyjedzie mama? tem lepiej! Wyjazd ten będzie głośną jej protestacją. Zamknie mama salon, który nie może być takim, jakim go mieć chciała. A ja wyciągnę z tego pewną korzyść. Papa Kohn szczególnie lubi być tam, gdzie go wpuścić nie chcą. *Moi aussi, je ferai le dificile. Je saurai me poser, aller!* a o resztę *je m'enfiche.*

Hrabia byłby dalej mówił, ale kozak uchylił portjery i oznajmił pana Bywalskiego.

— Prosić do mego salonu! — rozkazał Karol, a obracając się do matki, dodał. — A mama niech czeka!

— *Soyez prudent!* — szepnęła hrabina za odchodzącym synem — i nie zapominaj, że za kulisami, to ja niby główna aktorka w tej komedji.

Hrabina zostawszy sama, wstała i zaczęła się przechadzać po buduarze.

Rysy jej spokojne, młode, zakonserwowane, nie zdradzały najmniejszej alteracji.

Filozoficznie zapatrywała się na to małżeństwo syna.

Oswoiła się już z tą myślą, bo od pół roku było ono zdecydowanem. jako ostateczny środek wyjścia z zachwianych interesów, które potrzebowały bankierskiej, nie pańskiej, fortuny.

— Gdyby Karol tak dużo nie potrzebował — szeptała — to przecież mógłby się świetnie bardzo ożenić... ale dzisiaj... Bourbonka wnosi... nic!

Przeszła do przyległego pokoju, wzięła z

http://rcin.org.pl

toalety wąskie pudełeczko, z którego wydobyła przyrząd do polerowania paznogci.

Powróciła nazad usiadła na szezlongu, nogi w jedwabnych pantofelkach wyciągnęła i przystąpiła do zajęcia około rąk, którym kilka godzin dziennie miała zwyczaj poświęcać.

Gładząc paznogcie, przypadkiem rzuciła okiem na portret dziecka przedniego pędzla, wiszący na przeciwległej ścianie.

— Karol! — szepnęła — miał wtedy lat ośm. *Merimée* go pozował. Ja wtedy myślałam *qu'il epousera une princesse de France*... jakież to życie złudne!

Westchnęła i przeszła do następnego paznogcia, który długo na wszystkie strony oglądała.

Wtem na dywanie zaszeleściało. Wsunął się lokaj i zameldował:

— Pan Bywalski!

— Prosić! — odparła hrabina, a lekki, zaledwie dostrzegalny rumieniec przebiegł po jej twarzy.

— Zapomniałam — myślała — grania komedji *on se rouille* w takiej dziurze, jak Warszawa *et pourtant* w Fontenaiblau nie było lepszej odemnie aktorki. Cesarz...

Bywalski, z monoklem w oku, z uśmiechem lisim na twarzy, się wsuwał i kłaniał, przerywając hrabinie wątek wspomnień.

— Kochany panie Bywalski — zawołała — siadaj pan.. Cóż pana tak rano przyprowadza?... Ja dopiero co wstałam, czuję się...

— Czy może hrabina jest cierpiącą? — przerwał Bywalski z nadzwyczajną troskliwością w głosie, bojąc się usiąść

http://rcin.org.pl

— Nie... *un petit rien*... siadaj pan, nawet mam do pana interes.

— Interes?

— Tak, panie! *ce n'est pas le mot*... chcę pomówić z kochanym panem... już dawno... o jednej rzeczy, o której...

— O czemże?

— Pomożesz mi kochany pan. Chodzi tu o Karola.

— O hrabiego Karola? — zapytał Bywalski zmięszany i jakby szczerze uradowany.

Oczy jego śmiały się i zdradzały jakąś niepewną jeszcze myśl. — O cóż chodzi? — powtórzył.

— O rzecz bardzo ważną — odparła hrabina — nie chcę sama z nim o tem mówić, ale pan, kochany panie Bywalski, jesteś moim prawdziwym przyjacielem. *Vous lui ferer comprendre*, że to mnie bardzo boli.

— Co pani? proszę! jeśli tylko! — bąkał Bywalski, zupełnie zdetonowany i wysoce zaciekawiony.

Hrabina powoli wycedziła:

— Karol kompromituje się, bywając u tych... bankierów.

— U Kohnów?

— U K o o n ó w... mnie się to bardzo niepodoba, to nie ma sensu, *à ce qu'il parait*, dobrze tam jedzą, bawią się... *et la demoiselle est coquette*. Wdzięcznąbym panu była, gdyby tam więcej jego noga już nie postała.

Rysy Bywalskiego się nieproporcjonalnie wyciągnęły, milczał, przypatrując się hrabinie, jak

http://rcin.org.pl

fenomenalnemu jakiemu zjawisku. a ona najspokojniej czyściła dalej paznogcie.

Wreszcie ochłonął Bywalski z pierwszego wrażenia słów hrabiny i wybełkotał:

— Kohnowie, hrabino.. Kohnowie są... tam prawie wszyscy bywają.

— Wiem... wiem — przerwała pani Korońska — ale to nie przeszkadza, że to nie jest dom dla Karola... Rozumiesz mnie, kochany panie Bywalski... *entre un Koon et un Koroński* jest przepaść! przepaść, nigdy nieprzestępna.

— Ale most...?

— O! nie, nie ma mostu, któryby wytrzymał — podchwyciła hrabina i, jakby nawet nie chcąc więcej nad tym przedmiotem się zatrzymywać, zapytała Bywalskiego zmienionym swym zwykłym światowym lekkim tonem—dziś pan u nas będziesz? nieprawdaż? Spodziewam się *foule*. Wszak to mój pierwszy raut tej zimy.

Bywalski, który chciał wywiązać się z dopiero co otrzymanego polecenia od hrabiego Karola, był roztargnionym i ważył w myśli słowa damy, czyby one rzeczywiście były jej przekonaniem. Na to ze wszech stron widziane, wyglądały.

— Po cóż mnie tu przysłał — myślał zasępiony i odpowiadał.

— O niezawodnie cała Warszawa dziś wystąpi.

— Cieszyłabym się! — uśmiechnęła się hrabina — ale pan miałeś zapewne do mnie *quelque chose*.

Bywalski zakrztusił się, przetarł monokel i odparł:

http://rcin.org.pl

— Chciałem... chciałem się dowiedzieć czy hrabina i tego roku obejmiesz kościół PP. Wizytek... podczas wielkotygodniowej kwesty?

— Już teraz o tem myślicie! zawołała hrabina — *quelle sagesse*... zapewne i owszem!

— Powtóre — ciągnął dalej Bywalski — chciałem hrabinie powiedzieć, że u naszej antykwarki na Miodowej ulicy jest para pysznych serwskich wazonów.

— A jakże dziękuję kochanemu panu, za granica nic nie znalazłam... tutaj prędzej *on voit une belle chose... á acheter*... naturalnie.

Nie było co robić. Bywalski też pożegnał hrabinę i wysunął się.

Z przedpokoju wstąpił jeszcze do Karola.

— I cóż? — zapytał tenże.

— A... nic! — obruszył się Bywalski — maś tka pana ani przypuszcza... Nawet nie śmiałem co do tego robić alluzji Trzeba koniecznie, abyhrabia ją jakkolwiek przygotował

Karol na razie uśmiechnął się ze zdziwieniem, lecz wkrótce przywołał na swoją twarz wyraz przygnębienia i smutku.

— A te przesądy! — ryknął ze złością w głosie który wydał się Bywalskiemu szczerym.

— Cóż poczniemy? — zapytał hrabia.

— Hm!... pomówimy o tem, trzeba zebrać odwagę i zacząć... dziś nie śmiałem. Mówię hrabiemu, matka jego ani przypuszcza. Teraz wybiegam, bo Kohn mnie obligował na pierwszą... jestem zawsze na usługi hrabiego, ale dziś to było niemożliwe.

Bywalski wybiegł, a Karol pospieszył do matki.

http://rcin.org.pl

— Cóż mama zrobiła? — zawołał zaraz od drzwi — Bywalski...

— Więc mi się udało! — wykrzyknęła hrabina.

— Ale cóż to znaczy?

— Nic! zaczynam działać w twoim interesie, wszak mówiłeś mi, że zamierzasz się targować...

— Naturalnie, od czterech kroć nie odstąpię!

— Właśnie też — kończyła hrabina — w tym tonie zaczęłam...

— *Vous vous atend z m'enx que moi* — zawołał Karol — ja wychodzę do klubu.

— Dobrze! a obliguj Bywalskiego, aby jutro, bądź co bądź, między mną a tobą interweniował...

— A! rozumiem! — zawołał hrabia.

— Tylko zlituj się — dodała jeszcze matka — i nie zdradź się

— Niech mama się nie boi — zawołał Karol i wybiegł z buduaru.

Tymczasem Bywalski pędził dorożką do pałacu Kohnów.

Bankier umyślnym posłańcem go zawezwał. Musiało zajść coś ważnego.

To nad tem wezwaniem, to nad wizytą u hrabiny myślał światowiec. Bałamuciło mu się w głowie. On dotąd myślał, że Karol działał ręka w rękę z matką On zapewniał Kohna, że hrabia się oświadczy.

Tu inaczej rzeczy się przedstawiały. Partja wydawała się być trudniejszą, niż z Łęckim. Hrabia przecież nie był zakochanym

Tak myśląc, wchodził do pałacu Kohnów, w którym ważne dokonywały się przemiany.

http://rcin.org.pl

Bankier powiększał swoje domicilium, wznosił dwa pawilony, w których mieścić się miały galerja obrazów gabinet starożytności, sala bilardowa, na jakiej pałacowi dotąd zbywało.

W miarę, jak interesa szły lepiej, wzrastały i potrzeby zbytku Kohna.

Pod tym względem od roku już wielka dawała się czuć zmiana Kohn, jakby chciał wyprzedzić i olśnić wszystkich najbogatszych, upiększał i powiększał swój pałac.

Bywalski rzucił okiem na dokonywujące się zmiany, widoczne z ulicy. W duszy myślał, że bankier zanadto zbytkuje i bał się, aby interesom swym tem nie zaszkodził.

Wczoraj Kiusztein był mu powiedział, że i na wsi w Rzeźbowie, Kohn dokonywał cudów, zakładał ogrody i restaurował z niewidzianym przepychem stare tamże pałacysko

A w finansowym świecie mówiono, że ostatnimi czasy interesa Kohna nie były znów tak osobliwymi.

Ale Bywalski wiedział, że w świecie w ogóle nie znoszą nagle wzrastających fortun i że często obalają tych, którzy właśnie się po noszą.

Wśród zwykłych ceremonij Bywalski przeszedł przez salony, dowiedziawszy się, że Kohn służbę uprzedził o jego przybyciu i na niego czekał.

Zastał bankiera oglądającego plany jakiegoś monumentalnego gmachu w stylu francuskim.

— Cóż to — zapytał — Versailles?

— Versailles Kohna - odparł bankier, uśmiechając się zarozumiale i mówiąc dalej — to Rzeźbów... tak teraz odnawiam.

http://rcin.org.pl

— Ale pocóż u licha taki gmach? — zawołał Bywalski — na wsi... gdzie nie mieszkacie.

— Owszem — przerwał bankier — myślę kiedyś wycofać się z interesów i osiedlić się na wsi. Zresztą rodzina wzrasta... Łęccy już się spodziewają potomka... Lena... ot masz, pawilon dla Łęckich, pawilon dla Leny, gdy im przyjdzie myśl odwidzić starego ojca. Dziś czasy się zmieniły, ludzie dbają o wygody. Niktby do nas nie przyjechał, gdyby mu gorzej miało być u nas, niż ma u siebie.

Kohn palcem pokazywał na planach różne szczegóły i objaśniał przyjaciela.

Ten oglądał i słuchał z widoczną nieuwagą i był roztargnionym, jak nigdy.

Wreszcie usiadł na fotelu i zapytał:

— Pocóżeś mnie wezwał?

Kohn, którego myśli przeniosły go do Rzeźbowa, pociągnął ręką po czole, spoważniał i usiadł naprzeciw Bywalskiego, mówiąc:

— Wezwałem cię, mój drogi Adamie, aby ostatecznie już skończyć z tym Korońskim. Nie uwierzysz, jakie mam z tego powodu zmartwienia!

Bywalskiego aż dreszcz przeszedł po całem ciele, ale nadrabiając miną i przeczyszczając monokl podchwycił:

— Co za zmartwienia?

— Tobie mogę powiedzieć — zaraz dorzucił Kohn — śmieją się z nas. Bywanie hrabiego u nas od tak dawna, kompromituje nasz dom, jeśli on tylko myśli się bawić Leną. Pani Kinsztein wczoraj otwarcie zwróciła uwagę mojej żony na to, i dała jej do zrozumienia, że Koroń-

http://rcin.org.pl

ska nigdy synowi na to małżeństwo nie pozwoli. Pojmujesz stan mojej żony. Pani Paryska mówiła wczoraj, iż hrabina udała kiedyś u księżnej Rurykowej na recepcji, że nie wie nawet, iż w Warszawie są jacy Kohnowie, hahaha... niech zajrzy do hipotek swoich, to się dowie...

Kohn rozdrażniony urwał, a Bywalski milczał i rozważał to wszystko, chcąc przyszłość wywnioskować.

Bankier dalej mówił.

— Jeśli więc tak, to niech hrabia zaprzestanie u nas bywać, a ja... ja zażądam odbioru dwóchkroć. On nas skompromitował, a rozkochał Lenę... a jest powodem, że z nas drwią poprostu. Kinsztejny czekają tylko chwili... ah!... Wielką mam do ciebie urazę...

— Do mnie? — przerwał przerażony Bywalski.

— Do ciebie! Wszak ciągle, wczoraj jeszcze, gdy trzeźwem okiem patrzałem na widoczne zajęcie się Leny hrabią, zapewniałeś mnie, że się to skończy małżeństwem.

— Tak mi się... zdawało.

— Zdawało? — wykrzyknął przestraszony Kohn.

— Zdaje... — wtrącił Bywalski i zamyślił się.

Długie panowało milczenie.

Przerwał je Bywalski pytaniem.

— Proszę o szczerość! potrzebuję jej. Czy bardzo pragniecie za zięcia Korońskiego?

— Pragniemy — odparł sucho Kohn.

Światowiec niedostrzegalnie się uśmiechnął i dalej pytał.

http://rcin.org.pl

— Ile dacie Lenie posagu?

— Łęckiej dałem dwakroć.

— Dwakroć siedmdziesiąt.

— Zbiegiem okoliczności... ja dałem tylko dwakroć.

Bywalskiego twarz, którą Kohn śledził, okryła bladość chwilowa.

Bankier zrozumiał jej znaczenie i czemprędzej dorzucił.

— Dam trzykroć!... dopłacę sto do pożyczki.

— To ostateczne?

— Ależ to na wagę złota — zawołał Kohn — Koroński więcej by nie zaważył.

Uśmiechnął się Bywalski i zaczął.

— Uważasz, mój drogi, rzeczy tak stoją. W tej chwili wracam od hrabiny. Nie przypuszcza ona nawet, aby to, na co rachujemy, mogło mieć miejsce.

— Ależ to... to farsy!

— Tak jest. Hrabia o swych widocznych projektach matce nawet nie wspomniał, nawet się ich jej domyśleć nie dał... Ja, który z tem właśnie do niej się udałem, tak zostałem zbity odrazu z pantałyku, iż nic nie powiedziałem.

— To grozi dla nas skandalem — wykrzyknął Kohn — my na pewno rachowaliśmy, ja chciałem cię prosić, aby dziś jeszcze Koroński się oficjalnie oświadczył.

Rzeczy zaszły już za daleko. Cofnięcie się hrabiego obraziłoby naszą godność, nie mówiąc o Lenie.

Bywalski, wysłuchawszy, dalej ciągnął:

— Rzecz ta musi się w tych dniach roze-

http://rcin.org.pl

grać, ale uprzedzić cię winienem, że pieniądze ważną tu odegrają rolę. Przygotuj się do pewnych poświęceń i nie zapominaj, że Łęcki...

— Ah, Łęcki! — przerwał Kohn — *c'etait un mariage d'amour.*

— To też — mówił dalej Bywalski — to małżeństwo może przyjść do skutku, sądzę, lecz...

— Lecz?

— Lecz... wierz *mon ami*... Koroński jest Korońskim. Trzykroć, wliczając w to pożyczkę, wybij sobie z głowy.

Kohn się oburzył z rozdrażnieniem:

— Przecież ja nie będę...

Bywalski uchwycił go za rękę.

— To tak, jak chcesz. Chcesz mieć za zięcia Korońskiego... to dasz odpowiedni posag, nie, to... wątpię. Namyśl się. Przygotowuję cię na to, abyś wiedział, co cię czeka. Ci panowie drogo się cenią... i nie ma czemu się dziwić... jeśli znajdują nabywców.

Te ostatnie słowa Bywalski wymówił ciszej i z uśmiechem na ustach, którego nie zdołał powściągnąć.

— Ależ ja mam tylko dwie córki! — zawołał Kohn.

— To bardzo dobrze, to bardzo dobrze — odparł Bywalski — dla Łęckiego i dla... Korońskiego, ale wiesz, dzisiaj nie są czasy sperand. Twoja córka ma tylko tyle, ile jej w dzień ślubu dasz.

— Ależ takie sumy, w ciągu roku wydane, zachwieją mojemi interesami!

— Pocieszysz się tem, że już nie masz trzeciej córki.

http://rcin.org.pl

— Twoja filozofja!

— Mój drogi — przerwał Bywalski — przecież wątpię, abyś się łudził, że Koroński zadowalać się będzie tem co Łęcki. Nie trzeba byłogo wpuszczać do dom,u, jeśli na poświęcenie, i to znaczne, nie byłeś przygotowany.

Krew uderzyła do głowy bankiera. Wstał i zaczął się przechadzać po gabinecie. Bywalski mu się przypatrywał i odgadywał jego wewnętrzne uczucia. Milczenie trwało długo.

Wreszcie stanął bankier nad swym przyjacielem i zawołał:

— Słuchaj kochany Adamie. Ja zrobię, co będzie w mej mocy, *l'impossible!* byle się to skończyło... Ja mam piekło w domu, żona... Lena... Niech się to skończy w tych dniach!

Urwał i zaczął znów chodzić, szeptając półgłosem, ale tak, że towarzyszy jego mógł słyszeć.

— Hrabia Koroński... ha... to coś warte.

Przystanął i głośniej zagadnął.

— Rotszyld w Wiedniu mi raz mówił, że tytuł barona, to w najgorszym razie wart jest dwakroćstotysięcy rubli.

— Dlaczego?

— Bo widzisz, baron choćby był szubrawcem, to zawsze znajdzie córkę jakiego małego bankiera, który ma dwakroć.

— Więc na moje wychodzi! — zaśmiał się Bywalski — i to Rotszyld mówił o baronie?

— Tak... nie o hrabiach — szepnął Kohn i dalej zaczął chodzić wysoce zamyślony.

Znów przystanął.

— Tak, niech się to skończy! — mówił —

http://rcin.org.pl

niech Warszawa zobaczy, co to ślub Kohnównej z Korońskim. Pokażę Kinszteinom, że u mnie będzie... hrabina. Pokażę im, że się hrabia nie bawi Leną... Pokażę tym podłym...

Urwał, a Bywalski podchwycił.

— Komu?

— Pokażę — kończył wysoce zły Kohn — pokażę tym bankierom, Kinszteinom, Landesbergom, tym... wszystkim tym, że i Kohna stać na zięcia, jak Tarłowski.

Uspokoił się i westchnął, mówiąc:

— Tak mój drogi Adamie, człowiek albo idzie na dół, albo do góry. Ja muszę iść do góry, ja drugiej córki za szlachcica z Podola nie wydam.

— Więc z Łęckiego nie byłbyś kontent? — spytał ze zdziwieniem Bywalski.

— Owszem! bardzo! ale...

— Ale...

— Lena jest bardzo ambitną. Marzy o wielkościach, a ja jestem dość bogaty, by jej je dać. Łęcki, to... wiesz... ci szlachcice to nie umieją być panami.

— Aha! — bąknął Bywalski i wstał.

— No! *à demain* zacznie się komedja! — zawołał.

— Dziś wielki raut u hrabiny, wieczór u was nie będę.

— Albo to — podchwycił bankier — pomyśl, co to za upokorzenie dla nas, dla mej żony, dla Leny... Tu hrabia u nas codziennym gościem, *un habitué*, a my... Co biedna Lena o tem myśli?

http://rcin.org.pl

— Zapewne! — mruknął z współczuciem Bywalski.

Żal mu się zrobiło Kohna, na którego twarzy odbiło się głębokie zgnębienie tem upokorzeniem, jakie leżało w fakcie zamknięcia dlań w tych okolicznościach salonu hrabiny Korońskiej.

— Poczekaj! — zawołał — *vous aurez la rèvanche.*

Uścisnął rękę bankiera i wybiegł.

W przedpokoju zatrzymał go lokaj słowami.

— Jaśnie pani prosi pana na minutę.

Bywalski skierował swe kroki w stronę głównych apartamentów. W czerwonym salonie zastał panią Kohn. Wyglądała zmienioną, oczy jej nosiły ślady niedawno wylanych łez.

— Co mąż mój miał za interes do pana? — zapytała.

— *A propos* hrabiego Karola — odparł Bywalski.

Pani Kohn długo milczała, aż wreszcie Bywalski zagadnął:

— Pani sobie życzysz tego małżeństwa?

— Nie! — odparła niewiasta — ale mój mąż i Lena pragną go gwałtownie.

W głosie jej było tyle smutku, iż Bywalski zapytał:

— Pani masz jakieś zmartwienie dzisiaj?

— Ah! panie! — westchnęła pani Kohn — z dniem, w którym ten człowiek przestąpił próg naszego domu, uleciały z niego spokój i szczęście, a weszły tylko upokorzenia... i troski.

— Troski? — podchwycił zaciekawiony Bywalski.

http://rcin.org.pl

Pani Kohn wybuchnęła:

— Czyż pan myślisz, że mi się to wszystko podoba. To gonienie za... ach! mój Boże! A te zbytki... budują pawilon, aby było miejsce na salę bilardową, bo hrabia lubi bilard. To śmieszne! Lena jest próżną! Mój mąż zawsze nim był, ale teraz...

Kobieta urwała i łzy zabłysnęły w jej oczach.

Bywalski jeszcze chwilę ją pocieszał zapewnieniem, że Koroński może być doskonałym mężem i zięciem, i wybiegł.

Dziwnie smutne wrażenie wyniósł z tego pałacu, w którym dotąd oddechał tylko atmosferą szczęścia i swobody.

— Ha! nie można mieć wszystkiego — mruczał

Przypomniał sobie anegdotę dorożkarzy o tym woźnicy, który sobie kupił do kolaski doskonałego mierzyna. Ale na drugiego do pary chciał już paradnego konia z miną i fantazją. Kupił więc takiego i od tego czasu przestał jeździć i potrzaskał pojazd i sam się pokaleczył.

Nie mógł sobie reszty anegdoty przypomnieć, bo mu ją kilka lat temu opowiadał dorożkarz, wiozący go do Wilanowa i tłumaczący się z faktu, że miał liche konie.

Żal mu było pani Kohn. Ta kobieta obudzała jego współczucie. Te kilka słów, które przypadkiem zdradziły jej ta, otwierały mu różne jej cierpienia i dawały dużo do myślenia.

—. Ale co robić! — mruczał — Kohn chce Korońskiego, a ten chce miljona.

http://rcin.org.pl

Kazał się wieźć do klubu. Tam spodziewał się zastać hrabiego Karola. Miał do niego jeszcze interes.

W klubie zastał Korońskiogo przy zielonym stoliku.

Przegrywał gorączkowo.

Bywalski odwołał go na chwilę od stolika gry.

— Kochany hrabio — zawołał cicho — trzeba skończyć. Stan ten niejasny i dla Kohnów jest przykrym.

Hrabia się zamyślił.

— Bądź pan jutro rano u mej matki, proszę! *il faut prendre son courage á deux mains* i...

Uchwycił go pod ramię i przeszedł z nim do pustego saloniku, gdzie dokończył.

— Mojej matce nawet wspominać nie można o mniej, jak pół miljona... Dziś jestem proszony do Kohnów na obiad, ale nie będę.

— Jakto?

— W tych okolicznościach, wobec tego, że się oświadczyć nie mogę, dopóki nie wiem, ile Kohn daje... nie wypada mi więcej być...

— Ależ! — zawołał Bywalski.

— Jutro — przerwał Karol — oświadczysz mnie pan Kohnowi, jeśli zdołamy wyperswadować mamie. Jeśli Kohn zadeklaruje... jeśli to będzie możliwe... *la chose est faite.*

— Wejdź pan w pozycję Kohnów — przerwał Bywalski — świat cały się pyta, co znaczy...

— Rozumiem! — wtrącił hrabia — wszystko to zawisło od posagu panny Kohn. Nie my-

http://rcin.org.pl

ślę angażować mej przyszłości, aby Kohnom sprawić przyjemność. *Vous comprenez! A ce soir!*

Uśmiechnął się i pobiegł do stolika.

Wychodzącego Bywalskiego z klubu zatrzymał książę Oleśnicki.

— Czyż to prawda — zapytał — że Koroński?

— Co?

— No... mówią o Kohnównie.

— Nie wiem— odparł Bywalski — mówią... być może.

— Ha... — zaśmiał się książę — uważałem zawsze Kohna za rozumnego człowieka, a tu..

— Cóż książę masz przeciw Korońskiemu? — zapytał urażony Bywalski.

— Przeciw Korońskiemu... tak... tutaj nic! Przeciw Korońskiemu, zięciowi Kohna hm! *c'est une autre paire des manches.*

Bywalski już wychodził, gdy go dopadł młody Lewicz...

— Panie Adamie! panie Adamie — wołał.

— Co?

— Czyż to może być — pytał tajemniczo i uradowanie.

— Co?

— To, co głośno mówią... Karol z Kohnówną?

— A dajże mi pan pokój. Przecież nie jestem ani Kohnem, ani Korońskim. Tyle wiem, co pan.

— Mówią!

— Kto mówi?

— Cały świat *et se serait par trop fort* — odparł Lewicz i puścił Bywalskiego, który wybiegł.

http://rcin.org.pl

— Po co było tworzyć partje antisemickie, po co było otwierać salon heraldyczny, jeśli myśleli uderzyć o Kohnównę — mruknął sam do siebie Bywalski — to kpiny z ludzi i ze świata!

Jak ten świat wszystko wie — myślał dalej — ciekawym, co dzisiaj będzie u hrabiny, czy jeszcze ta atmosfera *vielle rochy*... w przededniu oświadczyn o Kohnównę...

Kazał się wieźć do księżnej Światopełkowej, która dnia tego przyjmowała.

Potrzebował odetchnąć innem powietrzem, zmęczyły go te narady matrymonjalne Kohnów i Korońskich. Zastał u księżnej liczne zgromadzenie. Świat cały prawie siedział w jej salonie i popijał herbatę, tysiące plotek i bajek.

Natychmiast obrzucono go pytaniami o Korońskiego, o Kohnównę.

Bywalski zaprzeczył pogłosce, ale konwersacja weszła już na tor świata i finansów.

Pani Juljanowa zabrała głos i zaczęła opowiadać coś. Powoli zrobiła się cisza, pierwsze słowa damy zainteresowały wszystkich. Mówiła ona o Łęckich. Nadstawił więc ucha i Bywalski.

Pani Juliannowa mówiła:

— A więc pani Paryska jest jakąś daleką krewną Łęckiego i mieszka niedaleko...

— Zyblówki — wtrącił Bywalski.

— Otóż Łęccy — ciągnęła dalej dama — oddając po okolicy wizyty, wybrali się i do Paryskich. *Imaginez vous!* wiedzieli, że są w domu.. Tymczasem lokaj im odpowiada: „państwo przepraszają". *Imaginez vous*, przepraszają... na wsi to niesłychana. A pani Paryska głośno miała wyrazić się w okolicy, iż kuzyna swego, Łęckiego,

http://rcin.org.pl

ożenionego z panną Kohn, nie przyjmie *c'est le grand evenement de la Podolie.*

Pani Juljanowa skończyła, a gwar nieopisany zapanował w salonie.

Wszyscy różnie zapatrywali się na postępek pani Paryskiej.

Z chwilowego uspokojenia się skorzystał Bywalski, aby zapytać:

— To zrobiła pani Paryska? która? czy ta przyjaciółka Kohnów.

— Tak! ta! tasama! — wołano i dalej dyskutowano.

Wkrótce zupełnie uniewinniano panią Paryskę i twierdzono przeważnie, że bardzo dobrze zrobiła, a w salonie znalazło się kilka osób, które lepiej jeszcze i ze szczegółami całą tę historję znały.

— A! przepraszam! — zawołał z kąta salonu głos Ostoi — przepraszam!

Wszyscy ucichli.

— Jakto? — pytał hrabia — znajdują się pochwalający postępek *de la comtesse* Paryska? ależ to poprostu infamja, to po prostu salonowy rozbój, to gwałt przeciw odwiecznym prawom... Ja nigdy w to nie uwierzę.

Zaręczono jednak Ostoi autentyczność faktu.

— *Nous sommes en decadence* — zawołał hrabia — bywać u kogoś, tańczyć, bawić się i mieć czoło tak się zachować wobec jego córki! to przechodzi wszystko, *mais c'est une sale infamie* — dodał, wstał i opierając się na swej lasee, z salonu wyszedł.

A księżna obróciła się do księżnej Druskiej, która pochwaliła panią Paryską i rzekła:

http://rcin.org.pl

— *Les idées du vieux comte!*

— *Cé qu'il est vieux* — uśmiechnęła się w odpowiedzi księżna Druska.

Bywalski obrócił się do pani Ursynowej.

— Po tem wszystkiem dziwić się tylko wypada...

Pani Ursynowa odgadła myśl jego, bo niepozwalając mu dokończyć, zawołała:

— Że im się chce jeszcze Koroński ego.

Nie mogli dłużej rozmawiać, bo znów w salonie zapanował gwar.

Radzono, co zrobić, jeźli w salonie hrabiny Korońskiej pojawią się Kohnowie.

Księżna Druska twierdziła, że obawy są płonne, gdyż to było niemożliwem, ona znała oddawna, z Paryża hrabinę i jej przekonania.

— *Tout est possible aujourdhui!* — zauważyła pani Ursynowa i sama wstając, dała hasło jeneralnego wyjścia.

Spieszyło się wszystkim do domu. Pora była spóźnioną, a jeszcze trzeba było zjeść objad i ubrać się przed rautem hrabiny.

Księżna Swiatopełkowa pytała:

— A więc dzisiaj *grande grrrande toilette?*

— *Grande, grrande!* — odpowiadały damy wśród śmiechów. dowcipów i szeptów tłoczyły się do wyjścia w przepełnionym gratami salonie.

http://rcin.org.pl

II.

W kilka dni później pani Kohn niecierpliwie oczekiwała porannej poczty.

Tą pocztą spodziewała się nadejścia listu od Łęckich. Pisała bowiem do nich o swoich kłopotach, o projektach Leny. Nie wymieniła wprawdzie Korońskiego. Lecz dała do zrozumienia, iż w tem wszystkiem potrzebowała swej córki Marji i zięcia, do którego tyle miała zaufania.

Sądziła, że potem przyjadą, lub przynajmniej zaraz odpiszą. Tymczasem list, który według obliczenia, wczoraj powinien był nadejść, nie przyszedł.

Pani Kohn była w rozpaczy, potrzebowała rady. Dotąd znajdowała ją u męża. Dziś nie. Kohn formalnie oszalał w namiętnem pragnieniu Korońskiego na zięcia.

Myślała nad tem wszystkiem, siedząc w swojem gabinecie, gdy uchylił drzwi jej mąż.

— Jesteś! — zawołał — mam z tobą do pomówienia. W tej chwili wyszedł odemnie Bywalski.

— I co?

— Hrabina znacznie trzeźwiejsza — ciągnął

http://rcin.org.pl

dalej bankier, siadając — już mówi o tem, jako o rzeczy możliwej. jeśli..

Jeśli? — zapytała pani Kohn.

— Jeśli dam pięćkroć, to jest te dwa, które dałem i trzy gotówką — dokończył Kohn, a jego zmęczona twarz konwulsyjnie się wykrzywiała.

— I te targi długo potrwają? — zapytała z udanym spokojem żona.

— Targi? co za targi! — obruszył się Kohn. — Dziś cały świat uważa małżeństwo za kontrakt.

— A przecież Łęcki...

— A dajże mi spokój z Łęckim. Łęcki a Koroński to dwie całkiem inne historje. Dziwię się, że nie pojmujesz, czem dla nas jest wydanie Leny za Korońskiego. Wchodzimy *de plein pied* w świat, w świat, nie w szlachtę... Słyszałaś, co mówią o Paryskiej?

— Słyszałam! ale cóżeś odpowiedział Bywalskiemu?

— Że nie dam, tylko czterykroć.

— Czy ty nie czujesz — zapytała, po dobrej pauzie niewiasta męża, kierując na niego swój załzawiony wzrok — czy ty nie czujesz, jak dla nas ubliżającymi są te targi, jak ubliżającem jest całe zachowanie się w tem Korońskiego?

— *Que faire!* — westchnął tylko Kohn — Lena chce, my potrzebujemy...

— Od pięciu dni — ciągnęła dalej małżonka — trwa to. Koroński się nie pojawia i oświadczy się o rękę Leny, gdy wytarguje pasag. A! to okropne.

— Nic okropnego nie widzę — przerwał zirytowany bankier — rzecz jest bardzo prosta

http://rcin.org.pl

Koroński chce się ożenić z Leną. jeśli będzie mieć pięćkroć, a ja..

— Ty?

— Ja... ja nie mogę dać tyle.

— To jest monstrualne! to!

— Ależ Elżbieto — zawołał Kohn — uspokój się. O posag panny Blanc targowano się dwa miesiące, *ça arrive.*

— Ale czyż tego potrzebujemy, czy nam, Lenie da szczęście, spokój, tylko Koroński? — mówiła tonem błagalnym prawie.

Bankier spojrzał na żonę ze zdumieniem.

— Zawsze byliśmy w zgodzie, dziś...

— A bo nigdy nie obrażałeś mojej osobistej godności — podchwyciła niewiasta.

— Osobista godność! — zamruczał Kohn — nierozumiem! Co to za tryumf, ty tego nie czujesz? tą drogą dostać się do salonu tej Korońskiej, co...

Nie dokończył, bo żona mu się z takiem zdziwieniem przypatrywała.

Po długiem milczeniu, zaczął:

— Ja nie chcę drugiego Łęckiego na zięcia. Łęcki mi nic nie pomógł, siedzi na wsi... gospodaruje... robi pieniądze... to ja także potrafię... Jest dobry mąż, kocha Marję... wielka rzecz. Mnie z Łęckiego nic nie przychodzi. Ja potrzebuję, ot tak, jak tu siedzę, siedzieć w arystokracji u Korońskich, Ostojów, wszędzie... to mi da Koroński, tego mi nie da Łęcki.

— Ależ do czegoż ci to potrzebne?

— Do czego? do życia, do zakończenia. Pracowałem dość długo. Dość długo walczyłem i dobijałem się pieniędzy, dziś je mam i pragnę

http://rcin.org.pl

tego, co pieniądz daje. Pragnę odpocząć i pragnę wejść w ten świat...

— Toż w nim prawie jesteśmy!

— Jesteśmy? dziękuję za takie bycie. Będziemy wtedy, gdy się znajdziemy razem z nim na balu u Leny, gdy będzie hrabiną Korońską

Pani Kohn chciała jeszcze coś mówić, gdy wszedł lokaj i oznajmił ceremonjalnym tonem:

— Państwo Łęccy przyjechali!

Bankier spojrzał ze zdziwieniem na służącego, a żona jego wydała okrzyk niepohamowanej radości i wybiegła z salonu.

Kohn nie poszedł za nią, tylko powrócił do swego gabinetu.

Głowę jego rozsadzały myśli. Te targi go męczyły.

— Gdyby nie to, że teraz nie mam, że mnie ten Rzeźbów tyle kosztował, to bym dał pięćkroć — szeptał sam do siebie.

Nie na rękę mu był przyjazd Łęckich w tych, okolicznościach. Nie chciał on, aby Witold kiedykolwiek wiedział, jak się Koroński targował. Nie chciał też, aby się domyślał cyfry posagu.

Kolory uderzyły na jego twarz, zmęczoną gorączką ostatnich dni, w których z trzechkroć poszedł na czterykroć i przewidywał dalszy postęp.

Usposobienie żony, Leny, która miała do ojca urazę, że od razu na wszystkie warunki hrabiego nie przystawał, do reszty go gnębiły.

— Jakże odmiennem, wesołem, gładkiem — myślał — było wydanie za mąż Marji.

Zadzwonił i kazał do siebie poprosić swą żonę.

Ta przybyła natychmiast.

http://rcin.org.pl

— Przepraszam cię — zawołał Kohn — ale zapomniałem o jednej ważnej rzeczy. Łęcki nie może wiedzieć o wysokości posagu Leny.

Pani Kohn wybuchnęła.

— Ja kłamać nie potrafię! ja przed Witoldem sekretów mieć nie będę.

— Ja nie jestem w stanie, - - zaraz odparł Kohn — podnosić i posag Marji.

— Wątpię nawet, aby tego od ciebie żądał.

— I ja wątpię, ale...

Nie dokończył, tylko razem z żoną wyszedł z gabinetu i udał się za nią powitać Łęckich, którzy już byli w salonach.

Podczas gdy to się działo w pałacu Kohnów, Bywalski, który prosto od bankiera podążył do hrabiny, siedział już w jej gabinecie.

Hrabina leżała na szezlongu i wyglądała niezwykle zgnębioną. Karol chodził po pokoju, paląc papierosa.

Hrabina mówiła.

— Jeśli przeznaczeniem jest, aby Koroński, syn mój, żenił się z panną Kohn, to dobrze, ale niechże przynajmniej znajdzie on w tem małżeństwie spokój i dobrobyt.

Pani Korońska powąchała sole, z któremi w drażliwych chwilach się nie rozłączała i stłumionym głosem od bolu kończyła:

— Karol obszedł się bezemnie, układając plan ten. Może i teraz moją wolę ominąć, ale ja nie pobłogosławię związku tego, jeśli po obu stronach nie będzie przynajmniej równości majątkowej...

— Ależ mamo! — przerwał nienaturalnym tonem hrabia.

http://rcin.org.pl

Hrabina zrobiła znak, niecierpliwość zdradzający i rzekła.

— Jeśliby Kohn nie dał pięciukroć, ja... ja nietylko, że nic o tym ślubie wiedzieć nie chcę, ale nadto dóbr moich się nie zrzeknę na rzecz jego.

Bywalski milczał i słuchał, wreszcie zagadnął.

— Ależ zastanówcie się państwo, że Kohn ma tylko dwie córki...

Hrabina przerwała:

— Kohn jest bankierem *et j'en ai connue.*

Ręką machnęła, uśmiechnęła się boleśnie i mówiła dalej.

— Karol jest... młody. Pięćkroć... dwakroć, które wzięliśmy... sto tysięcy zaraz, dwakroć w dzień ślubu. Z chwilą zaręczyn hipoteki mają być uregulowane i na imię panny Kohn co do wszystkich pozycyj przepisane.

Bywalski słuchał oniemiały, ważył słowa hrabiny i myślał, jak je powtórzy Kohnowi. Przypatrywał się z ciekawością tej kobiecie, równie w interesach, jak w salonie przezornej.

— Hrabino — wreszcie, jąkając się, zaczął — to trudno nawet powtórzyć Kohnowi, to są warunki prawie...

Dama przerwała:

— Gdy ja... ja wychodziłam za hrabiego Korońskiego, ojciec jego trzy dni się upierał przy punkcie wspólności majątkowej, a ja byłam księżniczką Pilawską, nie panną Kohn *it y a une petite difference...*

Bywalski umilkł, widział, że nie było co więcej mówić. I tak nie spodziewał się, że hra-

http://rcin.org.pl

bina po sześciu dniach oporu, zechce dnia tego przystąpić do postawienia swych warunków.

Nie pozostawało mu nic innego, jak udać się do Kohna i powtórzyć mu *ultimatum*, które każdemu musiało ubliżać.

Od Kohna żądano poprostu, by posag wypłacił przed ślubem.

Żądanie to łagodziła okoliczność, iż Koroński mieli rozliczne dobra, jednakże było to zawsze warunkiem niebywałym.

Hrabina na wszystkie uwagi Bywalskiego, a nawet syna, który się bał, aby struna przeciągnięta nie pękła, odpowiadała tylko:

— *Un banquier est toujours un banquier!* bankructwo dla niego jest temsamem, czem śmierć na polu bitwy dla żołnierza, nieprawdaż *cher monsieur* Bywalski? — pytała u mującym tonem osoby, moralnie zgnębionej i bardzo nieszczęśliwej.

— Jeśli i te warunki Kohn przyjmie — zapytał światowiec po długim namyśle, zwracając się do Karola — to hrabia zaraz dziś oficjalnie się oświadczy?

Koroński spojrzał na matkę, a ta po chwili odrzekła:

— *Si la chose est finie...*

Westchnęła i urwała, wąchając sole.

Bywalski, trwożny, aby się nie powtórzyła scena, jakich kilku był w tych dniach ostatnich świadkiem, wybiegł, obiecując niebawem powrócić.

Gdy drzwi za nim w przedpokoju się zamknęły, Karol zbliżył się do matki i zagadnął:

— Czyśmy zanadto nie wyciągnęli?

http://rcin.org.pl

Matka się uśmiechnęła, klaskając w dłonie i wstając z szezlonga.

— Zamałośmy żądali... przepadło... *je ne croyai jamais avoir une position aussi forte.* Pięć kroć *c'est joli* i dolicz do tego, co ty przy twym sprycie potrafisz od nich wyciągnąć...

Zaczęła chodzić po pokoju, a ogon od jej długiego, jedwabnego szlafroka sunął się za nią.

Nagle podniosła go i zaczęła się przyglądać dolnym brabanckim koronkom, któremi był obszyty.

— Bardzo się zabrukały... widocznie dywanów nie zamiatają.. stary Błażej jest *bon à rien...* nie radzę ci go zatrzymywać... *il n'ya au jourdhui, qu'un valet de chambre francais.*

— Jaki paradny jest u Kohnów! — westchnął Karol.

— To ci go odstąpią — mówiła hrabina — cóż oni potrzebują, wydawszy drugą córkę. Mówię ci, te koronki potrzebują wyprania... a żebyś wiedział, że to tylko umieją w Paryżu...

Opu ciła ogon i przysunęła się do lustra

— Te targi mnie zmęczyły — cedziła powoli, przyglądając się swej twarzy i poprawiając swe włosy — ale,.. *je n'ai pas l'air d'avoir mon age* mówię ci... *pour un homme d'esprit et puis un Koroński...* teść bankier, to studnia złota... Łęcki? *qu'en sait-il?*

Tymczasem Bywalski wchodził do pałacu Kohna, gdzie mu zaraz na dole oznajmiono, że przybyli państwo Łęccy, bankier zaś zaraz po śniadaniu udał się do biura, gdzie na niego czekał.

Bywalski zaraz wziął na lewo i otworzył

http://rcin.org.pl

pierwsze drzwi na parterze, prowadzące do biur i kas.

Drzwi od gabinetu Kohna były uchylone, a w gabinecie panował tłok interesantów i bankierowiczów.

Kohn wydawał rozkazy i przyjmował raporta.

Widząc wchodzącego Bywalskiego, skinął głową i dalej rozmawiał, wydając dobitne i krótkie zlecenia każdemu ze swych kantorowiczów.

Każdy po kolei się nisko kłaniał i wychodził, jak minister, z pliką papierów, teką, czy księgą buchhalteryjną.

Bywalski przysłuchiwał się. Zadziwiła go ta trzeźwość umysłowa bankiera do interesów i to w chwili, gdy wiedział, że Kohn owładnięty był gorączką zakończenia nie dającej mu sypiać kwestji Korońskiego.

Wypieki miał pod oczami i na policzkach, ale mówił przytomnie i jędrnie. Jednym rzutem oka obejmował przedstawione mu korespondencje, dostrzegał myłki i ważniejsze punkta.

Bełkotał czasem z gorączki i szybszego biegu myśli, niż języka, lecz nie zapominał nawet o drobiazgach.

Jego szeroka w czole głowa mieściła widocznie silny mózg.

Wreszcie ostatnia figura wysunęła się z gabinetu.

Kohn zamknął drzwi za wychodzącym i rzucił się na skórzaną kanapę, obok Bywalskiego, mówiąc:

— Pozwól, że ochłonę.

Rękami kilka razy przeciągnął po czole i

http://rcin.org.pl

twarzy, wypił pół szklanki jakiejś mineralnej wody, która stała na stoliku przy kanapie i zaczął:

— Nie uwierzysz, co cierpię. Wiesz, że przyechali Łęccy? Ta pozycja nie jasna, tembardziej mnie trapi, a tu nawał interesów.

Trzeba więc skończyć — podchwycił Bywalski — przynoszę ci *ultimatum* hrabiny.

— Jeszcze... Ta targuje się, jak żydówka— zawołał bankier i urwał. Poczerwieniał, spojrzał na Bywalskiego, który nie drgnął, tylko zaraz zaczął:

— Przyjmiesz, to dziś skończona *la comedia*, nie? to ja umywam ręce.

— Mów!

Bywalski zaraz krótko i węzłowato powtórzył dosłownie słowa hrabiny i nawet jej porównanie bankiera do żołnierza.

To ostatnie podobało się Kohnowi, bo się uśmiechnął nerwowo, poczem zakrył ręką czoło i oczy i myślał.

— Pięć kroć! pięć kroć! — szeptał tak cicho, iż Bywalski nic nie słysząc, widział tylko poruszające się jego wargi.

Potem wstał, przeszedł się po pokoju, pogładził faworyty, już mówić zaczynał i urywał. Wreszcie stanął nad przyjacielem.

— To będzie najdroższy hrabia zięć do tych czasów w Warszawie.

— A Tarłowski? — zawołał Bywalski.

— Posagu nie podniósł — odparł Kohn i dalej chodził, aby znów przystanąć i bąknąć:

— Czy wiesz, że ja się tego Łęckiego wstydzę!

— Czyż potrzebuje wiedzieć? — mruknął

http://rcin.org.pl

Bywalski, który gorąco pragnął, by się to wszystko skończyło i błogi spokój zapanował w pałacu bankiera.

Milczenie trwało długo, przerwał je Bywalski.

— I cóż? kończ! tak, albo nie, bo to nie do wytrzymania.

— Masz słuszność! — zawołał Kohn — czy to raz traciłem sto tysięcy, głupstwo! to się czasem jednym obrotem odzyska...

Twarz Bywalskiego promieniała, a Kohn dalej mówił:

— Ja nie lubię złych interesów. Pięćkroć i takie warunki. Koroński ma tyle... hahaha...

Zaśmiał się szydersko i ciągle chodząc po pokoju wyjął karnecik z kieszeni i mówił:

— Czy wiesz... ci Korońscy, gdyby się dziś zlikwidowali, to mają...

— Mało?

— Nic! — zawołał i z karnecika odczytał przyjacielowi spis majątkowy hrabiego długów, hipotek i ciężarów.

Bywalski aż zbladł, a Kohn dalej prawił.

— Ja sam myślałem, że takie fumy mają za sobą z miljon. Są dobra... może kiedyś.. dziś... nic!

Przystanął i wypowiedział:

— Jeśliby mi.. Lenie przyszła fantazja odmówienia hrabiego Karola.. dnia 18. kwietnia licytują Krajkoroński klucz. Te sto tysięcy na to potrzebne... Ciekawym, coby robiła hrabina... Zresztą muszę i siebie ratować, bo jeśliby Towarzystwo kredytowe sprzedało Krajkoronę, kto wie, czy moje dwakroć...

Machnął ręką i po chwili dokończył:

http://rcin.org.pl

— To fatalny interes!

Bywalski nie wierzył uszom i słuchał ciekawie, ale Kohn już nic nie mówił, tylko chodził i myślał.

Wreszcie zawołał grobowym głosem.

— Stało się!

Ogromne wypieki zdradzały walkę, jaką w jego duszy próżność staczała z rozumem.

— Stało się! — powtórzył — stać było Kinszteinów na hrabiego...

— Co mi tam za hrabia! — zawołał Bywalski.

Kohn się uśmiechnął i dokończył.

— To i mnie dla Leny stać na Korońskiego!

— *C'est dit?*

— Słowo!

— Wszystkie punkta. *Vous savez*, nie chciałbym... — mówił Bywalski.

— No słowo, moje słowo! — powtórzył Kohn.

Bywalski się zerwał i zawołał:

— Chwała Bogu! biegnę! czekaj w domu hrabia dziś zapewne się oświadczy oficjalnie

— Czy sam, czy przez kogo? — zapytał bankier.

Światowiec się namyślił i odparł.

— Sądzę że przez kogoś, może księcia Światopełka... może... no nie wiem!

Wyszli z gabinetu razem, obaj czerwoni od wzruszenia, czy gorączki Bywalski wybiegł w ulicę, a Kohn głównymi schodami dążył na górę.

— Przyszły teść Korońskiego! — myślał w duszy i puszył się widocznie.

http://rcin.org.pl

W przedpokoju zastał Pomballa i wydał mu rozkazy do pałacowej gali.

— Nowe liberje... przybrać lokai.. obejrzeć spiżarnie i piwnice — mówił.

Pomballe tylko się kłaniał, a mina jego zdradzała, że wie, co się święci.

Pompatycznie, z pewnym gorączkowym ale zadowolonym wyrazem wszedł do apartamentów.

Całą rodzinę zastał zgromadzoną w czerwonym salonie.

Witold rozmawiał z matką, Lena z Marją.

Pani Kohn rzuciła okiem na męża i odgadła, że się coś stało. Przybliżając się doń, zagadnęła.

— Czy co nowego?

— Nie! nic! wracam z kantoru.

— Czy miałeś jakie zmartwienie?

— Nie!

Uspokojona powróciła do Witolda, a Kohn wziął na bok Marję i zaczął, odprowadzając ją w drugi koniec salonu:

— Wiesz zapewne, droga Maryniu, o projektach dla Leny?

— Wiem, mówiła nam mama — odparła pani Łęcka.

— Matka niekoniecznie kontenta, a Lena? — zapytał ojciec.

— Lena? Lena! nie mówiłam z nią o tem, bojąc się przedwcześnie...

— Nie jest przedwcześnie — przerwał Kohn — gdybyś zechciała wybadać Lenę, czy bardzo stoi o to małżeństwo?

— I owszem, a papa?

— Ja... ja, o tyle, o ile Lena go pragnie.

Nachylił się do córki i bardzo cicho szepnął:

http://rcin.org.pl

— Koroński... wiesz... to nie tak łatwo znaleźć. Matka, którą popsuł twój mąż chciałaby...

Urwał i uśmiechając się do córki, dodał:

— Gdyby Lena niekoniecznie go sobie życzyła to i ja..

— Więc i papa przeciwny temu małżeństwu! — zawołała, jakby z radością Marja

— Nie .. nie — czemprędzej dorzucił bankier — lecz, gdyby Lena... rozumiesz .. to znów nie ma się o co tak dobijać.

— Zaraz z nią o tem pomówię — odparła Marja i zakręciwszy się po salonie, skinęła na siostrę i obie razem wyszły.

Kohn zbliżył się do żony i Witolda.

— Kochany Witoldzie! — zawołał — jakże ci idzie?

— Doskonale!

Bankier chciał jeszcze zadać zięciowi jakieś banalne pytanie, ale pani Kohn. która wyglądała w tej chwili czemś silnie podrażnioną, zawołała do męża:

— Więc to, co nam opowiadano o pani Paryskiej, jest prawdą!

Oczy jej pałały złością, rumieńce okryły jej twarz, nozdrza poruszały się miarowo. Ambitna kobieta widocznie cierpiała.

Kohn poczerwieniał i bąknął tylko:

— Fumy!

Tonem zastraszonym zapytał Łęckiego:

— Marynia? Marynia cóż o tem myśli?

— Ah! — odparł Witold — Marynia nic nie wie. Wytłumaczyłem jej, że między Łęckimi i Paryskimi odwieczne istnieją urazy familijne.

Pani Kohn z wyrazem niesłychanej wdzię-

http://rcin.org.pl

czności spojrzała na zięcia, a ten również zirytowany zawołał:

— Jabym takiej, na waszem miejscu, nie przepuścił przez próg domu.

Kohn się zamyślił i po chwili dodał:

— Głupstwo... fumy... skończy się to...

Ale pani Kohn inaczej się zapatrywała na tę kwestję. Zagadnęła męża!

— I wobec tego, wobec tych podłości, które nas ciągle spotykają ze strony tego świata, ty pragniesz koniecznie Korońskiego za zięcia, który dziś nam już daje przedsmak tych oburzających nikczemności, jakie będziemy musieli połykać..

Kohn pąsowiał i przypatrywał się żonie, jakby jakiej nowej kobiecie. Od niejakiego już czasu była wzburzoną i rozdrażnioną.

Obróciła się do Witolda.

— Czy uwierzysz — zawołała — że od tygodnia już trwają targi...

Kohn zbladł i chciał przerwać, ale żona mu nie dała i dalej mówiła.

- Koroński, który był codziennym gościem przestał bywać, pani Korońska... ach!..

Urwała. Wzburzenie tłoczyło jej łzy do ócz tamowało w gardle głos.

— Kobiety! — mruknął Kohn i oddalił się w drugi koniec salonu, sam mocno rozdrażniony.

Zapytał Łęckiego:

— A ty, mój drogi Witoldzie? jakież twoje zdanie.

Witold oburzony więcej tem, czego się domyślał, niż tem, co słyszał, odparł krótko:

— Jest to ostatni z moich znajomych w świe-

http://rcin.org.pl

cie warszawskim, którego bym pragnął na męża dla siostry mej żony, ale...

Nie dokończył.

— Ale co? mów! — podchwycił bankier.

— Według mnie, rozstrzygnięcie zależy od Leny.

— Ależ ty nie wiesz — zawołała pani Kohn — do jakiego stopnia Lena pragnie być hrabiną!

Chciała mówić dalej, ale mąż jej przerwał:

— Nie mówmy o tem — mówił poważnie — są to rzeczy głęboko psychologiczne i zeszlibyśmy na manowce, roztrząsając je.

Witold z zaciekawieniem przypatrywał się teściowi, który rzadko wyjawiał swoje rzeczywiste poglądy na rzeczy światowe.

Kohn dalej ciągnął.

— To są nieszczęścia naszej socjalnej pozycji.

Obrócił się do żony i zapytał:

— Czy cię nie boli wypadek, jaki ze strony głupie Parysiej, o którym mówić nie warto, spotkał twe dzieci?

Pani Kohn skinęła głową, a bankier dodał:

— I mnie także.

Oddalił się, jakby więcej o tem mówić nie chciał.

Witolda wprawiły w zadumę słowa bankiera, jak i ton ich. Opuściwszy głowę, wpatrywał się w deseń posadzki, a czuł, że w mózgu jego zapanowuje nieład. Zdawało mu się, że on i pani Kohn i teść jego, każdy z osobna ma rację.

Wtem dwoje drzwi naraz się roztworzyło.

http://rcin.org.pl

Jednemi weszły Marja i Lena, zarumienione wi docznie po żywej i drażliwej dyskusji.

W drugich stał lokaj w pończochach i meldował tonem proroka:

— Książę Światopełk do Jaśnie pana.

Kohn spąsowiał, podbiegł do lokaja i zawołał

— Prosić!

Powrócił nazad, jakby oszołomiony, i zapytał cicho Marji.

— I co?

Pani Łęcka ruszyła ramionami ruchem niecierpliwym, mówiąc:

— Ależ! nie ma o czem myśleć... pragnie go, jak zbawienia... a ręczę, że serce małą odgrywa rolę.

Kohn wybiegł, a oczami za nim powiodła Lena, której czarne oczy pałały, jakby namiętnością próżności, tyle w nich było ognia, a tak mało uczucia, czy rozmarzenia.

— Będę Korońską! nie Łęcką! — myślała w duszy, a serce jej gwałtownie biło.

Długie panowało milczenie, prawie niczem nieprzerwane, aż do powrotu ojca rodziny.

Wszedł on rozpromieniony, czerwony wiecej, niż kiedykolwiek od dni kilku i stając nienaturalnie w pośrodku salonu, zawołał:

— Koroński oświadcza się o rękę Leny.

Milczenie było odpowiedzią. Wszystkich oczy powoli kierowały się na Lenę, która drżąca cała, uradowana, ale zimna, bynajmniej nie rozrzewniona stała.

Kohn podsunął się się do niej.

— Leno moja! — zawołał — wprowadza-

http://rcin.org.pl

jąc cię w świat, powiedziałem ci, że twój wybór będzie moim wyborem, że...

— Możeby się Lena namyśliła, może wstrzymać się z odpowiedzią — zauważyła matka, która wstała i wyglądała przejętą ewenementem, choć go, jak wszyscy, oczekiwała.

Wtedy Lena zbliżyła się do ojca i rzucając mu się na szyję, zawołała.

— Ja już od pół roku się namyśliłam.

Kohn rozczulony widocznie, uściskał ją milcząc, a poszeptawszy słów kilka z żoną, wyszedł.

Wrażenie tej sceny było przykrem.

Marja przypatrywała się Lenie i przypominała sobie swoje niedawne przejścia w tych samych okolicznościach.

Jakże ona była szczęśliwą, jakże łzy jej do ócz się cisnęły.

— Czemuż Lena nie płacze, czemuż matka nie płacze — myślała.

Lena, jakby ją ci świadkowie jej tłumionych uczuć żenowali, wyszła do przyległego salonu

Pospieszyła za nią Marja, zbliżyła się do niej, chciała ją objąć w swoje ramiona i wywołać płacz. Sądziła bowiem, że ściśnięte jej serce przeszkadza łzom w wydobyciu się, a wiedziała, jak łzy często są potrzebą radości, czy szczęcia

— Leno moja! — zawołała i wyciągnęła do niej swe ręce.

Ale Lena nie rzuciła się w te gorące objęcia, tylko uśmiechając się z dziwnym wyrazem, szepnęła i dobitnie i wyzywająco.

http://rcin.org.pl

— A co? nie mówiłam zawsze, że będę hrabiną.

Pani Łęcka aż zadrżała. Zimno jej się zrobiło po całem ciele, nagle gorąco palące jej twarz uczuła.

Cofnęła się z przestrachem, a równocześnie szybkością błyskawicy przypomniała sobie, że w dzieciństwie zawsze się spierała z Leną, robiącą śmiałe projekta na przyszłość, iż nie będzie hrabiną.

— Czyż to możebne? czyż to możebne? — szeptała.

Nagle z przestrachem, z trwogą w wyrazie twarzy, zbliżyła się do siostry i wybełkotała.

— Więc dla tego? Leno! ty jeszcze jesteś dzieckiem! ty nie wiesz.. jakże w takiej chwili można nawet żartami mówić takie rzeczy.

Lena się obrószyła.

— Ja nie żartuję! Nie pamiętasz, przecież zawsze ze mną się kłóciłaś...

— Ależ Leno!

— Daj mi pokój — przerwała Marji siostra — wiem, co robię i co mówię. Za cztery miesiące będę *comtesse* Korońska, *voila!* Czy pamiętasz na tym balu dziecinnym u Kinszteinów, co mi powiedziała Zosia Kinsztein *à propos* Landesbergównej, która wychodziła za...

Marja się zamyśliła. Przypomniała sobie. Słabo jej się zrobiło.

— Leno! — zawołała.

Młodsza panna Kohn zaśmiała się głośno.

— Oto moja odpowiedź. Czekałam na nią lat ośm. Ah! czuję jeszcze gorąco mej twarzy.

http://rcin.org.pl

Koroński równie dobry, jak Tarłowski, a przecie lepszy od .. hahaha!

Pani Łęcka upadła na fotel i zadumała się, podczas gdy siostra jej gorączkowo chodziła po pokoju.

Nagle zagadnęła tonem poważnym.

— Żebyś wiedziała, moja droga, jak wobec prawdziwego szczęścia maleją te próżności światowe. Z jaką pogardą patrzymy na te cierpienia naszej pychy, gdy...

Lena machnęła ręką.

— A! ty byłaś zawsze marzycielką i tkliwą, jak pomadka. Ja nie! ja nie chcę takiego szczęścia, jak twoje w Zyblówce... cały rok z kurami i gdzieś za światem!

Marja umilkła, wstała i powróciła do salonu.

Ni ztąd ni zowąd uklękła przed Łęckim, który ciągle rozmawiał z matką i zawołała tonem wybuchającego szczęścia.

— Mój ty drogi Witoldzie!

Łęcki się zaśmiał.

— Cóż za wybuch! — zawołał, podnosząc ją i tuląc gorącym uściskiem do swej piersi.

Pani Kohn łzy w oczach stanęły. Oddaliła się, aby ich nie zdradzić i cicho szeptała:

— Szczęście nie wchodzi dwojgiem drzwi...

Wkrótce po obiedzie, zaanonsowano Korońskiego.

Trzymając się ściśle form światowych, dziękował on za przyjęcie.

Ta chwila uroczysta dziwnie zimne robiła na Łęckim wrażenie.

Wreszcie Karol przybliżył się do Witolda, wołając niby radośnie:

http://rcin.org.pl

— Czyż mogliśmy się spodziewać, że będziemy szwagrami.

— Nie! tego się nie spodziewałem — odparł jakby znacząco Łęcki.

Kohn był spokojniejszym. Wyglądał, jak po strasznej, ale wygranej bitwie. Siedział nieruchomy w fotelu i myślał, puszczając młynkiem swoje dwa duże palce.

Od czasu do czasu spoglądał na Lenę i mruczał niedosłyszalnie dla nikogo:

Moja córka hrabina Korońska.

I znów w głowie jego myśli się bałamuciły, spać mu się chciało widocznie.

Na drugi dzień, między pierwszą a drugą, właśnie, gdy wszyscy byli zgromadzeni po śniadaniu w apartamentach, zajechało przed pałac Kohna czarne coupé hrabiny Korońskiej.

Kozak wyrzucił w westibulu, jakby z pogardą, lokajowi w kamaszach dwa słowa, które jednak zrobiły szalone wrażenie, bo aż Pomballe, siedzący przy swym biurze, zbladł.

— Hrabina Korońska!

Niezadługo potem z owym uśmiechem sprytnym, mającym coś dworskiego w swym światowym wyrazie, wchodziła do salonu hrabina.

Toaleta jej była skromną, ale mówiła o swem pochodzeniu od Wortha.

W uszach miała te sławne czarne perły, które jej darowała cesarzowa Eugenja po rozbiciu cesarstwa, z jego skarbca.

Sztywnie i zimno podziękowała rodzinie Kohn za przyjęcie syna.

Usiadła na fotelu i zaczęła mówić o ostatniej powieści w *Revue*.

http://rcin.org.pl

Łęccy, wszyscy patrzali z niedowierzającem zdziwieniem. Lena tylko połykała każde jej słowo i każdy ruch.

Kohn zaś odchodził od przytomności. W głowie mu się to wszystko pomieścić nie mogło.

Hrabina oświadczyła, że za dwa dni wyjeżdża do Nicei, przeszła bowiem wiosna, przebyta w Polsce, bardzo jej zaszkodziła.

Obróciła się do Leny i zapytała.

— *Et vous aimez l'etranger? le voyage?*

— Oh! bardzo — odparła panna Kohn.

— *C'est bien heureux, mon fils l'aime aussi* — dodała i powstała.

Wszyscy ruszyli się z miejsc, myśląc, że hrabina chce zdjąć kapelusz.

Nie, pani Korońska odchodziła Była i tak długo, bo piętnaście minut.

Oficjalnie każdemu podawała rękę, prosząc tylko Bywalskiego, który był obecnym, aby wieczorem do niej zaszedł.

Kohn, który ułożył już wspaniały obiad proszony, nie wspomniał nawet o nim.

Gdy drzwi za hrabiną się zamknęły, zapanowało żenujące milczenie, jak po niemej katastrofie.

Bywalski nawet wysunął się z salonu, tak mu w nim było niemiło.

Szczęściem zaraz zameldowano panią Kinsztein.

Przychodziła powinszować rodzinie Kohn.

Niesłychanie była czułą i wylewającą się.

W rozmowie wspomniała pani Kohn, że hrabina opuszczała Warszawę.

http://rcin.org.pl

— Dlaczegóż, czy rzeczywiście słaba? — pytał bankier.

Pani Kinsztein się zaśmiała.

— *Comment?* — zawołała tonem poufnej przyjaciółki — *vous y croyez?* dlatego, aby nie dać rautu w sobotę.

— Dlaczegoż? — zapytał jeszcze Kohn.

Pani Kinsztein spojrzała na niego ze zdumieniem i nic nie odpowiedziała.

Inni nie pytali, bo zrozumieli. Pani Kohn policzki okryły się szkarłatem.

Zauważyła to pani Kinsztein i zadowolona wśród powtórzeń komplimentów i życzeń wyszła.

Kohn zaraz wybiegł do siebie, a wyglądał tak wzburzony, iż Bywalski podążył na nim.

W gabinecie swoim obrócił się do Bywalskiego i z furją w głosie zawołał.

— Czemużeś mi nie powiedział, że ci ludzie będą mi takie robić obelgi Wyjazd hrabiny, to... skandal!

— Daję ci słowo! nie wiedziałem!

— Ja bym był jeszcze im dodał sto tysięcy — zawołał bankier — aby nie ubliżali rodzicom przyszłej hrabiny Korońskiej, hahaha!

Zaśmiał się szydersko.

— Hahaha!—śmiał się jeszcze tak nieprzyjemnie, iż Bywalskiego dreszcz przechodził — ja zapłaciłem tylko za zięcia hrabiego Korońskiego. Teraz rozumiem... haha... trzeba płacić za resztę... za każdą formę przyzwoitości... hahaha... ci ludzie siebie nie szanują... mają nas szanować? ha ha ha... hrabina bawi dziesięć minut, wyjeżdża... aby nas

http://rcin.org.pl

nie przyjąć, nas? mnie może? ojca swej synowej! ha ha ha.

Śmiał się jesze i mówił, a Bywalski mu się przypatrywał prawie z współczuciem.

http://rcin.org.pl

III.

Minął rok od ślubu Korońskiego, który obchodzony był z niewidzianą świetnością i paradą.

Wystawa rolnicza i wyścigi ściągnęły do Warszawy obywatelstwo niemal całego kraju.

Przybył też i Łęcki z żoną, wystawiał on bowiem swoje bydło holenderskie i konie anglo-arabskie.

A cały rok od ślubu Karola nie był w Warszawie, już to z powodu słabości żony, już to z przyczyny ważnych zajęć na wsi.

Marja uradowała się niezmiernie, dowiadując się zaraz po przybyciu, że zobaczy Lenę.

Korońscy bowiem zjeżdżali na wyścigi z zagranicy do Warszawy.

Zamieszkiwali w pałacu, umyślnie dla nich przez Kohna kupionym, a położonym w najpiękniejszej części alei Ujazdowskich.

Lena Korońska miała po raz pierwszy w Warszawie otworzyć salony i rozpocząć zielony karnawał świetnym balem, o którym już dziś w mieście mówiono.

A cuda opawiadano sobie o pałacu Karola, którego upiększeniem zajmowali się pierwsi za-

http://rcin.org.pl

graniczni przedsiębiorcy, a myśli poddawali im naprzemian to Kohn, to hrabia, to hrabia, to Kohn.

Miało to być coś nadzwyczajnego, o wykończonych i wyrafinowanych szczegółach, w których zaledwie można się było domyśleć bankiera.

Urządzenie to miało być ostatniem słowem gustu i przepychu — miało pośredniczyć między luksusem apartamentu Kohna, a powagą odwiecznych mieszkań arystokracji.

Karol posprowadzał rzeczy mniejsze z Krajkorony, ponabywał ruchomości od różnych zbankrutowanych panów.

Każdy pokój, mówiono, był kopiowanym z wzorów najsławniejszych pałaców.

Ale nie powtarzano tu wiecznego niebieskiego salonu z Versailles, ani nie oddawano się stylowi Ludwików.

Hrabia był oryginalnym, nie chciał mieć nic podobnego do tego, co widzieć można było u Kohnów i Kinsteinów, Landesbergów i innych.

Wzory były czerpane to z cudownego Miramare, to z jakiegoś starego zamku w Normandji, to z jakiegoś pałacu doży w Wenecji, to z kamienicy z XV. wieku, zachowanej w Pradze czeskiej.

Opowiadano, iż sala jadalna była kopją sali, znajdującej się w jednym z najstarszych pałaców wiedeńskich.

Oczekiwano balu, mającego po raz pierwszy otworzyć te salony światu, z nadzwyczajną ciekawością.

Kohn sam niecierpliwie wyglądał od roku

http://rcin.org.pl

chwili, w której się ze światem spotka oko w oko, w pałacu swej córki, hrabiny Korońskiej.

Dnia też tego obudził się wcześniej, niż zwykle i wszedł do kantoru.

Ale wyglądał zły i rozdrażniony.

Przyjąwszy raporta i wydawszy dyspozycje, kazał swemu pierwszemu kantorowiczowi pokazać sobie rachunki hrabiego Korońskiego.

Gdy mu przyniesiono dwie księgi, oprawne w zielone płótno, wydał polecenie, aby nie wpuszczano nikogo do jego gabinetu.

Przez całą godzinę przewracał kartki, notował coś na świstku papieru, rachował, pomrukiwał i myślał.

Wreszcie przesunął ręką po czole, oparł się na wysokiej poręczy fotelu i zawołał ze złością:

— Od roku siedmkroć sto tysięcy i jeszcze chce więcej!

Rachował dalej poszczególne pozycje i mruczał:

— Posag pięćkroć... Chcieli się wynosić za granicę, bo hrabia znajdował, że w jego pozycji tylko w swoim można mieszkać pałacu... Kupiłem pałac, sto tysięcy, to sześćkroć! niech djabli wezmą takiego zięcia!

Zamyślił się i znów uchwyciwszy ołówek, mruczał rachując:

— Do Paryża posłałem raz pięć tysięcy, drugi raz trzy. Administracja Krajkorony podniosła ośm... Rachunki wyn[illegible]y... wyniosły...

Kohn urwał, zniecierpliwił się i zawołał:

— A! tuby nikt się nie dorachował, tu są pozycje, o których nie wiedziałem!

Uderzył we dzwonek, leżący na biurku.

http://rcin.org.pl

Wstał i zaczął chodzić po pokoju.

— A w urządzenie wsadziłem z prywatnej kieszeni ze dwadzieścia tysięcy... tego w rachunkach nie ma... może więcej... kto mi to odda?— mruczał, gdy się wsunął jego powiernik.

— Kochany panie Wilhelmie! — zawołał do niego — ładu dojść nie mogę z rachunkami mego zięcia. Znajduję pozycje, o których nawet nie wiem.

— Zapomniał pan pryncypał — odezwał się młodzieniec — to wszystko jest w największym porządku

— A pozycja „rachunki drobne“ rubli 12.800. Ja o tem nic nie wiem, co za rachunki?

Pan Wilhelm się uśmiechnął.

— W książce odpowiedniej „conto corrente“ są wymienione poszczególne pozycje. Są to, o ile sobie przypominam, rachunki kupców i magazynów, których pan hrabia przed wyjazdem swoim za granicę zapomniał...

Kohn zakaszlał się i przerwał...

— To dobrze, a pozycja, niedawna pozycja „administracja Krajkorony rubli 8.000“?

— Tak.

— Co to?

— Administrator podniósł pod wymienioną datą.

— Ależ panie! — zawołał w formalnej pasji Kohn — ja mam już dosyć tego, ja mam dosyć Krajkorony, ja mam dosyć hr...

Urwał. Pan Wilhelm się uśmiechnął i odparł, kłaniając się:

— Od dzisiaj polecę zamknąć conto hrabiego Korońskiego.

http://rcin.org.pl

— Naturalnie!

Bankier zaczął gorączkowo chodzić po gabinecie. Nagle przystanął i zagadnął:

— Hrabia od roku podniósł do siedmiukroć!

Kantorowicz zaraz poprawił:

— Siedmkroć i czternaście, siedmset trzydzieści i dwa.

— Jakto? Ja liczyłem! Tu pewnie czegoś brakuje?

— Tu nie ma pozycji rzeczy, które z zagranicy pan pryncypał sprowadzał do pałacu hrabiego.

— Dlaczego?

— Nie wiedziałem, pod jaką rubrykę. Myślałem, że to może prezenta..

— Prezenta! — fuknął bankier — prezenta! dobryś pan!

Nagle się zmięszał i uspokoił. Jego pierwszy kantorowicz czuł się zażenowanym. Pierwszy raz wobec niego wybuchnął Kohn i zdradził się z głęboko ukrywaną rzeczą.

Dotąd bowiem odgrywał wyśmienicie rolę teścia wysoce zadowolonego z hrabiego zięcia.

Tak nawet sądził pan Wilhelm, który stał i czekał.

A Kohn obiegał gabinet wszerz i wzdłuż i nieśmiał ócz podnieść, bo się wstydził wybuchu swego.

Ale, bo też Koroński nadużywał go. Właśnie dnia tego rano zażądał, jakby drobnostki, kilkunastu tysięcy na koszta wyjątkowe instalacji, które uwzględniał bankier.

Ale on nie był studnią bez dna — myślał.

http://rcin.org.pl

Zresztą hrabia go rozdrażnił dnia tego więcej swym sposobem zachowania się, niż żądaniem swem. Karol był arogantem, nie okazywał dość względów dla rodziny ojca Leny, bywał u Kohnów prawie tylko wtedy, gdy miał do nich interes.

Tak rozmyślał Kohn, nie zważając na pana Wilhelma, który śledził bacznie każde drgnięcie jego fizjognomji. Myśli jego tak latały, tak się goniły, iż zapomniał, że ma świadka. To interesa, to wyścigi, to bal u Korońskich, to trudna manipulacja giełdowa, wszystko to kołatało się w nieładzie po głowie Kohna.

— Pan jeszcze tu? — zawołał do Wilhelma, przystając.

— Pan pryncypał nie polecił mi się oddalić — odparł młodzieniec i dodał pytająco, kłaniając się — więcej żadnych nie odbiorę rozkazów?

— Nie — mruknął bankier i gładząc faworyty, kiwnął głową.

Kantorowicz już przymykał za sobą drzwi od gabinetu, gdy go jeszcze zawezwał Kohn.

— Panie Wilhelmie! — zawołał zmienionym głosem — wstrzymaj się pan z zamknięciem conta hrabiego... do dalszych zleceń.

Wilhelm ukłonił się tylko w odpowiedzi i wysunął.

Kohn wypił szklankę całą swej mineralnej wody i szepnął:

— Jeszcze trzeba być cierpliwym... dziś bal, zjechała hrabina... Lena otwiera salony... w takiej chwili nie mogę mu robić przykrości.

Usiadł napowrót w fotelu przy biurku i za-

http://rcin.org.pl

głębił się w księgach, które dopiero co go tak wzburzyły.

Rachował długo, wertował, przeglądał, notował, a kolory coraz silniejsze występowały na jego twarz.

Zdawało się, że dostanie uderzenia do głowy.

— Bajeczne! bajeczne! — szeptał — co mnie kosztowały te trzy lata, wydanie dwóch córek.. Leny... nie do uwierzenia! to, a nie co innego zachwiało mymi interesami, a tu jeszcze dawaj i dawaj!

Te ostatnie słowa wymówił Kohn ciszej i jakby z rozpaczą. W nucie ich było coś desperackiego.

Oparł głowę na ręce i dumał, dumał tak długo, aż go nie obudził dźwięk dzwonka elektrycznego, zwiastującego godzinę śniadania na pierwszem piętrze.

Kohn się ocucił.

— Ha! co robić! — mruknął i wstał.

Przejrzał się w lustrze i przestraszył się sam swej fizjognomji. Otworzył umywalnię mieszczącą się w kącie komnaty, namaczał gąbkę w miedniey, napełnionej wodą, wycisnął ją i przeciągnął kilka razy po twarzy i skroniach.

Znów się sobie przyjrzał w lustrze.

Woda nieco ostudziła jego oblicze.

Jeszcze kilka razy przeszedł się po pokoju i wybiegł z gabinetu.

Otrzeźwiał dopiero na schodach, gdy się zobaczył otoczonym tym zdwojonym od pewnego czasu przepychem i komfortem.

Z okazji wyścigów, zjazdu rodzinnego, wiało jakieś świąteczne powietrze w pałacu.

http://rcin.org.pl

Lokaje w jedwabnych pończochach mieli już kwiatki u butonierek.

Bankier je zauważył i przypomniał sobie dopiero, że za kilka godzin miał olśnić przepychem swego ekwipażu Warszawę.

Zapomniał był o tem wszystkiem podczas długiej zadumy w kantorze.

Z majolikowej żardyniery w przedpokoju, wyjął pączek czerwonej róży i wsadził go w dziurkę od guzika swego surduta

Tak wszedł do salonu, gdzie zastał żonę, Łęckich, Bywalskiego i kilka osób jeszcze.

Od chwili wydania za mąż Leny, pani Kohn nie znosiła samotności, otaczała się światem, który zawsze lubiała, a teraz więcej, niż kiedykolwiek.

A i bankier ze zdziwieniem spostrzegał, że i on coraz więcej nie znosił pustek w swych salonach, które mu nasuwały tylko czarne i smutne myśli.

Uradował się, widząc zgiełk i elegancki tłum w niebieskiej sali.

Wchodził pompatycznie, jak przystało na ojca Leny Korońskiej, o której tylko w tej chwili cała Warszawa mówiła.

Nie było jej jednak tutaj.

Kohn zbliżył się do Marji i zapytał:

— Korońscy, zdaje mi się, mieli być dzisiaj na śniadaniu?

— Tak — odparła pani Łęcka — a c Lena zawiadomiła mamę, że nie będzie.

Ojciec się skrzywił, a Marja dodała:

— Nie dziwię jej się... w dniu tak zapełnionym. Pomyśl tylko papa... wyścigi, potem za-

http://rcin.org.pl

raz bal, a prawda! przyjechał stryj jej, książę Pilawski z Paryża. Jest u nich na śniadaniu.

— Aha... aha... — zamruczał bankier i zamyślił się nad tym księciem Pilawskim, o którym nic nigdy nie słyszał.

Postanowił wywiedzieć się i w tym celu skierował swe kroki ku Kinszteinowi, który będąc dyrektorem banku, mającego bardzo rozgałęzione stosunki, wszystko zawsze wiedział.

Kinsztein rozprawiał z panią Paryską, której w pałacu Kohnów widocznie już przebaczono jej podły postępek.

Jak tu można było się na nią gniewać. Ona taką była milutką, wesołą, tak urozmaicała i ożywiała śniadania i obiady Kohnowskie, tak nigdy nie odmawiała zaproszeniom, tak była „*bon enfant*“, jak mówił bankier,

Ale zatrzymała go w drodze pani Kohn.

— Wiesz! — mówiła do męża cicho— Lena mnie prosi, abym jej pożyczyła na dzisiejszy bal mych pereł czarnych...

— Wszak ma takie same — podchwycił Kohn.

— Tak, ale widocznie chce wystąpić przykryta kosztownościami. Dziesięć rzędów czarnych pereł to *une parure voyale*. Jeśli nic nie masz przeciw temu, to mnie obojętne...

— Zapewne! — mruknął Kohn — *si elle y tient*, ależ nie wypada, aby Korońska występowała w pożyczanych, choćby od matki, biżuteriach. I tak rzadko je nosisz. . mogłabyś jej je darować *une charmante occasion*. Twoje zdaje się piękniejsze od tych, co ma od hrabiny, a które pochodzą z cesarskiego skarbca.

http://rcin.org.pl

— Zastanów się! — zawołała pani Kohn — Lena dostała więcej, niż Marja. Jeślibym je darowywała, tobym podzieliła na dwie równe części! Łęcka...

— Zawsze Łęcka i Łęcka! Na co Łęcka potrzebuje czarnych pereł? — obruszył się bankier, a żona jego przypatrywała mu się ze zdziwieniem. Kohn zawstydził się lekko i dodał:

— Biżuterje daje się tej córce, która umie je nosić.

— Ja podzielę moje — odparła pani Kohn — a tymczasem dziś Lenie pożyczę.

Oddaliła się, a Kohn zagadnął Kinszteina.

Łęcki tymczasem rozmawiał z Bywalskim, chodząc z nim wzdłuż czerwonego salonu. Wyglądali wysoce treścią rozmowy zainteresowani, bo nie zważali na nic, co się dokoła nich działo, ani na śmiechy pani Paryskiej, ani na dowcipy Światopełka.

— Jeśli rzeczywiście, jak w kołach finansowych mówią — cedził słowa Witold — teść mój się chwieje, to rozumiesz pan, że bardzo mu za złe mam to wystawniejsze — niż kiedykolwiek, życie, to pakowanie w Korońskiego.

— To, to — podchwycił Bywalski bardzo cicho — jest przyczyną gawęd. Przecież wszyscy wiedzą, że Koroński żeniąc się, był zrujnowanym, a teraz, jak żyje?

— Czy rzeczywiście robi takie zbytki?... — zapytał Witold.

— No zobaczysz — przerwał Bywalski — zobaczysz dziś wieczór.

— Czy pan myślisz — zapytał znów Łęcki — że Koroński robi długi, czy, że teść daje...

http://rcin.org.pl

— Ależ ciągną go, jak mogą, bez litości!

— Powiedz mi pan szczerze — zaczął Witold, wsuwając swą rękę pod ramię Bywalskiego — ile wziął Koroński?

— Jak to, nie wiesz?

— Nie!

— Nie mówiła ci matka.

— Unikałem tej materji, ile razy widziałem, że chce o tem mówić.

— Jesteś dziwnym człowiekiem! — wykrzyknął stłumionym głosem Bywalski — któż widział tak traktować interesa. Na twojem miejscu zażądałbym wypłaty tego, co wziął Koroński.

— Przecież rodzicom wolno... — zaczynał mówić Łęcki, ale Bywalski nie dał mu dokończyć, tylko podnosząc się do ucha Witolda, szepnął:

— W tej chwili mówiłem o tem z Kinszteinem. Oblicza on, a wiesz, że ma ciągle z domem Kohn stosunki, że Koroński wybrał gotówką do sześć kroć kilkadziesiąt.

Łęcki lekko zbladł. Po chwili dodał:

— To mnie nic nie obchodzi. Rodzicom wolno.. Chciałbym jednak wiedzieć, jaki posag zadeklarował teść, gdy się odbywały te ohydne targi, temu rok?

— Jakto, nie wiesz?

— Nie.

— Wszakże ja, ja sam...

— Wiem o tem. Więc ile?

— Pięć kroć! — szepnął tylko Bywalski.

Witold zamilkł i myślał. Po dobrej pauzie, mruknął:

http://rcin.org.pl

— Niechby przynajmniej tyle zabezpieczył Marji.

Umilkł i znów dodał.

— Ja nie potrzebuję, bynajmniej, ale jestem przecież opiekunem Marji... mam dzieci...

— Naturalnie.

— Nie rozumiem tego!

— Mój drogi Witoldzie — przerwał Bywalski — ja nie rozumiem, że dziś dopiero o tem myślisz. Ja myślałem...

Urwał, bo w przyległym salonie Pomballe otwierał drzwi i wołał:

— *Madame est servie.*

Bywalskiemu spieszyło się do wódki z wybornemi przekąskami. Czemprędzej więc kończył:

— Niechże... bo wszystko jest możebnem... niechże Kohn zbankrutuje, to... wyjdziesz na dudka.

Ostatnie słowo wypowiedział prawie głośno w pospiechu i wybiegł do niebieskiej sali, gdzie kamerdyner obnosił jeszcze tacę z przeróżnemi wódkami.

A księżna wsuwała swą rączkę pod ramię Witolda, z którym miała iść do stołu.

Wkrótce całe towarzystwo siedziało w około przepysznie urządzonej zastawy i słuchało, jak Kohn opowiadał o nadzwyczajnym serwisie śniadaniowym, jaki się gdzieś we Włoszech udało nabyć Korońskiemu.

Kohn bowiem od pewnego czasu, jak słusznie zwracał uwagę Łęckiego Kinsztein, nie umiał mówić tylko o Lenie, lub o Karolu.

Witold, w ten sposób zagadnięty, szukał odpowiedzi, ale Kinsztein znalazł ją prędzej i dodał:

http://rcin.org.pl

— On tak kocha swe córki... a zdaje się ma słabość do hrabiny.

— Zdaje się — mruczał Witold, pomięszany.

— *La comtesse lui convient mieux?* — pytał jeszcze Kinsztein.

Od odpowiedzi wybawiła Łęckiego księżna. która się zachwycała starą hrabiną Korońską

— *Tellement grande dame!* — mówiła.

A Marja siedziała przy Bywalskim i wyglądała znudzona. Spoglądała na męża swemi dużemi czarnemi oczami, które mu wyraźnie mówiły. że lepiej się bawi w Zyblówce, z panią Łęcką i Heleną, ze swemi dwoma dzieciakami, w rozmowie o najzwyklejszych rzeczach domowych.

Znudzoną minę pani Łęckiej zauważyła księżna, bo odwracając się do pana Kohna, zagadnęła go:

— Starsza córka pana, zdaje się, nie lubi tak świata, jak pani Korońska.

— O! tak! tak! — odparł bankier — ona tylko dom lubi i dzieci, *c'est tout le contraire* Leny. Nie wiem, zkąd jej się to wzięło, bo moja żona...

— O! żona pańska przepada za światem — podchwyciła księżna, dalej ciągnąc — ale pan wyglądasz niekontent z domatorskiego usposobienia pani Łęckiej.

Kohn się zamyślił i odparł:

— Dobrą matką i gospodynią być, to każda potrafi, ale damą...

Księżna się uśmiechnęła, a Kohnowi przerwał wątek tej filozoficznej myśli Pomballe, który

http://rcin.org.pl

rzucił tacę z kieliszkami przed nich i krzyknął nadzwyczaj głośno tuż nad nim:

Chablis — Mouton!

Księżna dalej nie pytała, bo ją zainteresował Bywalski, który właśnie zaczął opowiadać burzliwe życie księcia Pilawskiego, przybyłego z Paryża na bal Korońskich.

Miał to być wielki pan w całem słowa znaczeniu. Farser, dowcipny, wspaniałej powierzchowności mężczyzna, stale mieszkał za granicą, a ożeniony był z jakąś francuską księżniczką.

Kinstein zaciekawiony, nachylił się do Światopełka.

— Cóż to za Pilawski? — zapytał.

— Prawdziwy książe Pilawski — odparł tenże.

— A przecież podobno stryj hrabiego Karola — zauważył dyrektor banku.

— Tak.. niby... *ca c'est confondu* — niedbale odrzucił Światopełk i zaczął opowiadać wydarzenie w Brukseli, któremu był obecnym, jak właśnie tego księcia Pilawskiego podczas jakiejś uroczystości dworskiej wzięto za króla belgijskiego, do którego był podobnym.

A Kohn słuchał z niezwykłem zajęciem i gładził faworyty, jak to miał zwyczaj czynić, gdy był wysoce zadowolonym, co mu się w ostatnich czasach rzadko przytrafiało.

Powoli zapominał o marach kantorowych, które mu spać po nocach nie dawały i prześladowały go wszędzie.

Był to już inny człowiek nie ten, co przed chwilą trzeźwił się szklankami wody mineralnej i zimną wilgotną gąbką.

http://rcin.org.pl

Wyglądał wesoły i szczęśliwy, tak, iż pani Kinsztein posmutniała, zazdroszcząc Kohnom tych Korońskich i tych Pilawskich, jeśliby już niezazdrościła Łęckich.

— Kto wie — myślała, patrząc na Kohna — może to bajki, co mówią o jego interesach.

I coraz więcej posępniała, a rysy jej się wyciągały.

Po śniadaniu podano na werandzie pod markizą czarną kawę i likiery, i nie spostrzeżono, kiedy i jak czas przeminął, gdy lokaj zameldował, że ekwipaże gotowe i pora udać się na plac wyścigów.

Kohn pierwszy się zerwał i zawołał:

— Moje panie! spieszmy się, bo...

Nie dokończył, — bo bał się spóźnić i nie widzieć wjazdu Korońskich. — w ekwipażu, który prosto przyszedł, kilka dni temu, z Londynu.

Powozy gości również czekały na dole

Pani Kohn z Witoldem zajęła miejsce w podwójnem landó, ciągnionem przez dwa konie gniade ze stada Witolda.

A Kohn, Marja i Bywalski wsiedli do poczwórnego landó, które, jak piórko, poniosły dwa kare rysaki.

Konie miały na sobie kwiaty i kolorowe kokardy. Służba wygalowana i świeża, jakby prosto wychodziła od krawca, paradnie wyglądała w swych kawowych jasnych liberjach i opiętych kamaszach.

Bez turkotu nawet, bo koła opatrzone były gutaperkowymi obręczami, pędziły ekwipaże ku

http://rcin.org.pl

Alejom przez Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat.

Kohn się rozglądał. Na gankach, w oknach kamienic roiło się od ciekawych, zazdroszczących, analizujących widzów.

W Alejach Ujazdowskich zaczęło się wymijanie ekwipaży

Nie można się było połapać. Na prawo i lewo nadbiegały konie, unoszące najrozmaitsze wehikuły, strojne, lśniące, napełnione wesołemi osobami.

To Lewicz pędził swym amerykanem o żółtych kołach.

To księżna Druska wymijaną była przez wszystkich; bo karociery jej, szaeowały się jak ona.

Wtem spostrzegł Kohn że się niejaki szmer robi między publicznością, tą, co wisiała na gankach i co stała na ulicy.

Wszyscy nie patrzyli już na wymijające ich ekwipaże, tylko podnosili się na palcach i szukali czegoś na Nowym Świecie.

Z ekwipaży obracano się i wychylano.

Bo było i czego.

W szalonym biegu pędził brek, zaprzągnięty czterema łysymi kasztanami o białych pęcinach.

W breku siedziały damy i młodzi mężczyzni, a powoził hrabia Koroński. Na wzniesionym z tyłu koźle siedziało dwóch lokai w pończochach.

Kohn połykał oczami ten obraz, który, jak w panoramie, się mignął, bo hrabia znakomicie powoził.

Bywalski zawsze ciekawszy ludzi jak koni,

http://rcin.org.pl

rozpoznał w breku panią Lenę, bo tak nazywano w świecie hrabinę, księcia Pilawskiego, pannę Lewicz, panią Elizę, hrabiego Roderyka i księcia Emeryka.

Tuż za brekiem pędziła parokonna wiktorja, zaprzągnięta dwoma bułanymi końmi, powożona przez kozaków. Siedziała w nim hrabina matka i książę Ołeśnicki.

Oba ekwipaże obudziły szmer podziwu. Wszyscy ścigali je oczami, nie zwracając uwagi na inne tuż nadbiegające i wymijane.

Żałowali tylko, że tak szybko pędziły, że nie mogli zauważyć odpowiadających zapewne całości szczegółów.

Kohn aż poczerwieniał z radości. Gdy ochłonął z emocji, odezwał się:

— Lena nas nawet nie spostrzegła.

Po ustach Bywalskiego przebiegł uśmiech, który zrozumiała Marja.

— Ona się tak bawi — bąknął, a bankier dodał jeszcze, obracając się do córki.

— Czy uważasz Maryniu? co tylko w Warszawie jest *d'illustre*, było w ekwipażu Leny? Ten Karol umie żyć.

Łęcka nic nie odpowiadała, a Kohn dalej się zachwycał.

— Nie widziała Warszawa takich ekwipaży. Nie mogłem sam dobrze widzieć, bo tak się mignęło. Jak on powozi! Ten Karol, to genjalny w swoim rodzaju. Nie uważałaś, jaką suknię miała Lena?

— Coś z niebieskiem.

— A już wiem! słyszałem! opowiadała mi.

http://rcin.org.pl

to od Pachtary z Brukseli... prawda .. jak ja zapominam

Marja przypatrywała się ojcu ze zdziwieniem. Jakkolwiek był to ten sam człowiek, zmiana w nim nastąpiła znaczna. Jak dziecko cieszył się życiem Korońskich, ich czczym zbytkiem i pozą.

— Co to będzie wieczór! ten bal! Uważaj też moja Maryniu, *qui fera la cour á Lena, on l'entourera* z pewnością.

Urwał, bo ośmioresorowe lando zwalniało, wjeżdżając na miejsce przeznaczone dla ekwipaży.

Byli już na placu wyścigów.

Kohn kazał furmanowi wyszukać miejsce, najbliżej ekwipaży hrabiego Korońskiego.

To miejsce samo się znalazło, bo między hrabią a bankierem zajęły tylko stanowiska ekwipaże Swiatopełków, Lewiczów i Kinszteinów.

Bankier zły był, że jego pojazd stanął obok wiktorji pani Kinsztein, ale na to nie było już rady

Zawsze wysokie jego ośmioresorowe lando górowało po nad poziomem pojazdów.

Stanął też i szukał Korońskich.

Znalazł ich łatwo, bo londyński brek przesadnej był wysokości, a lokaje, siedzący z tyłu, wyglądali, jakby znajdowali się na jakiem rusztowaniu.

Karol na koźle cały był na widowni. W breku siedziała Lena, tyłem obrócona do Kohnów, wesoła, rozbawiona.

W około niej zbiegali się młodzi ludzie, aby się przywitać, ukłonić gwiaździe *saisonu*.

Damy z ekwipażów swych kiwały do niej

http://rcin.org.pl

głowami, powiewały chustkami, dawały znaki wachlarzami.

Księżna Druska nawet uśmiechała się czule i przyjacielskie posełała Lenie migi.

Wszystko to podchwytywał Kohn i uśmiechał się.

Cieszył się, jak dziecko i szeptał cicho, bardzo cicho:

— Jaką ona ma pozycję, jaki ten Karol genjalny! Mówią, że pieniądze wszystko dają, niechże dadzą tę pozycję...

Nie miał czasu myśleć, bo około breku robił się tłok formalny.

Świat cały się zbiegał, aby obejrzeć ekwipaż, to konie, to toaletę Leny, to ją samą, o której mówiła księżna Druska, że dziwnie wypiękniała, odkąd została żoną Karola.

Ubiegali się młodzi mężczyźni o zaszczyt bycia spostrzeżonymi przez piękną hrabinę, ubiegały się o jej przyjaźń młode kobiety, przeczuwające w niej lwicę salonów, jeśli nie epoki, to sezonu.

Kohn tylko się uśmiechał i gładził faworyty. On widział, jak Lenie przymilały się damy, należące do tych arystokratycznych sfer, do których go wpuścić nie chciano, zanim nie został teściem Karola.

Dziwił się, ale krótko zważywszy, że Lena była hrabiną Korońską.

Któż tam pytał, albo obowiązanym był pamiętać, że ta dama, mająca na sobie brylantów za kilkakroć, siedząca w uherbowanym ekwipażu, przy swym stryju, księciu Pilawskim, była panną Kohn z domu!

http://rcin.org.pl

O tem dobrze pamiętano, gdy nią była. Dziś była hrabiną Korońską, dającą dziś właśnie bal, a w zaproszeniach na tenże wybrakowała tych, którzy ją niedawno brakowali.

Mówiono o wielu niezaproszonych osobach ze świata, nietylko z finansów.

Ba! Kinszteiny, przyjaciele odwieczni Kohnów podobno nie otrzymali zaproszenia.

Pani Kohn mówiła do siedzącego obok niej Witolda.

— Czy uwierzysz? nie zaprosili, czy zapomnieli zaprosić Kinszteinów.

— Nie możebne! — zawołał Łęcki.

— Gdyby im kto przypomniał.

Witold spojrzał zdziwiony na matkę, a ta zaraz dodała.

— Ja się mięszać nie myślę, ale żeby to uczynił ktoś obcy... n. p. Bywalski. Jest dobrze z Karolem.

Witold skinął z powozu na Bywalskiego, który zaraz nadbiegł.

Pani Kohn mu dała polecenie. Przyjął on je widocznie niechętnie i podążył do breku, wokoło którego się roiło.

Za chwilę powrócił pomięszany i nie swój

— Co? — pytała pani Kohn.

— Nic! — odparł Bywalski — pani Lena mi odpowiedziała, że lista zaproszonych już zamknięta.

Pani Kohn zrozumiała odpowiedź, poczerwieniała, zacisnęła usta.

Lena zaczynała od zerwania z tymi, pod których okiem się prawie wychowała.

Gdy Bywalski się oddalił, aby zająć swoje

http://rcin.org.pl

miejsce w lando, skąd lepiej wszystko można było widzieć, pani Kohn obróciła się do Witolda i szepnęła spokojnie.

— W jej pozycji, to wielki brak taktu. — Tego rodzaju brak taktu popłaca w świecie — dodał ironicznie Witold.

Więcej o tem nie mówili.

Kohn tymczasem wysiadł z pojazdu i podążył złożyć swą czołobitność hrabinie Korońskiej matce.

Przywitała go ona, jakby obcego, skinieniem głowy i konwencjonalnym uśmiechem.

Obok niej siedzący książę Oleśnicki uczuł sztywność tego przywitania i podwójnie był uprzejmym dla bankiera, który też długo nie bawił.

Zaledwie się oddalił, hrabina obróciła się do księcia.

— Gdy pomyślę — szepnęła — że to jest ojciec mej synowej.

Książę spojrzał na nią ze zdziwieniem i zdawał się sam być zaciekawionym, czy hrabina mówi serjo, czy gra komedję.

Biegi się zaczęły.

Konie hrabiego Krasińskiego i pana Grabowskiego walczyły na arenie.

Cisza panowała wśród stu tysięcy zapartych oddechów. Wszystkie oczy wytężały się w kierunku, gdzie jakieś ciemne punkta wzniecały tu man kurzu.

Bywalski nawet stanął na siedzeniu i nałożywszy przeczysty monokl, zdawał się śledzić bieg wyścigowców.

Tylko Kohna głowa jedna obróconą była

http://rcin.org.pl

nie do areny, ale w kierunku ekwipażu Korońskich.

Nagle się otrząsł i rozejrzał się po tłumie, czy kto nie podchwycił jego w niewłaściwym kierunku skupionej uwagi.

Potoczył oczami po tłumie dokoła siebie. Wszyscy patrzyli na arenę, tylko spotkał się z uśmiechem ironicznym pani Kinsztein który mu zdradził, że go obserwowała i odgadywała.

Zażenował się i *nolens volens* patrzał już dalej na arenę gonitw.

Czasem tylko zerkał w stronę breku, na koźle którego siedział Karol, a o ramię jego opierała się Lena.

Oboje śledzili niby bieg koni, ale myślą byli gdzieindziej.

Karol rozważał, czyby do kompletu jego pańskiej egzystencji nie odpowiadały i konie wyścigowe. Zazdrościł tym, którzy w tej chwili ulegali wrażeniom właścicieli sławnych biegunów.

O uszy jego obijały się tylko nazwiska rumaków i ich posiadaczy.

— Sto tysięcy ludzi — myślał — w tej chwili zajętych jest tylko tymi. Czemuż jabym nie miał za rok być na ustach wszystkich?

Myśl ta go trapiła. Onby był chciał jednej minuty nasycić się wszystkiemi przyjemnościami, na użycie których życie nie starcza, a które daje pieniądz.

Kohn ich miał dosyć!

Rano wprawdzie był mu ktoś powiedział, że teść jego kilka złych w ostatnich czasach zrobił interesów, lecz Karol przypuszczał, że to było bajką.

http://rcin.org.pl

— Od czegożby był taki Kohn — myślał — jeżeli nie od robienia tylko dobrych interesów.

Zresztą był rozdrażnionym.

Onegdaj Kohn odmówił mu pożyczki głupich dwunastu tysięcy, gwałtownie mu potrzebnych na wykończenie rezydencji w Krajkoronie, gdzie lato mieli spędzić.

Hrabia budował Kohnów i ani spoglądał w ich stronę.

Cicho, bardzo cicho mruczał, a raczej myślał, zaciskając cynicznym uśmiechem swe usta: — Dadzą oni, dadzą...

Bawiło go to, co, nie patrząc, widział i słyszał; jak Kohn wciąż w jego stronę spoglądał, jak pani Kohn do Leny posłała Bywalskiego.

On żadnych finansów u siebie mieć nie chciał. On miał dosyć Kohnów. O i żadnych nie miał obowiązków. Jego żona? jego żona była hrabiną Korońską.. nic więcej!

Myśli te przelatywały urywkami, bez związku po jego głowie, bo tuż za nim nadskakiwano Lenie, śmiano się, dowcipkowano, bo pani Eliza ciągle go zagadywała i chichotała się.

— Gdyby nie te kilkanaście tysięcy, jakże bym był dziś swobodnym, wesołym! - myślał i ukradkiem rzucał w lando bankiera złe, zawistne spojrzenia.

Znał on swego teścia i jego słabe strony, i pewnym był co do tej kwoty powodzenia, ale drażniła go sama zwłoka, oburzała go pierwsza odmowa.

— Cóż on sądzi — myślał — że się na to z jego córką ożeniłem, aby głowę sobie kłopotać kilkunastoma tysiącami.

http://rcin.org.pl

A pani Eliza obracała się do niego i pytała:

— Cóż pan dzisiaj taki małomowny, roztargniony?...

Karol w odpowiedzi, nie słysząc zapytania, uśmiechał się, a piękna hrabina odwróciła się do Leny.

— Lena, Lena *chérie!* — szczebiotała — *prenez garde.* twój mąż dziwnie dziś roztargniony *il ne veut même pas me faire la cour.*

Lena się śmiała, a hrabia rozpędzał swe myśli, kręcące się wokoło Kohna, koni wyścigowych, balu, pałacu w Krajkoronie i znów Kohna i rzucał pani Elizie kilka dowcipów i komplementów i znów wpadał w zadumę.

— *Que combinez vous comte?* — zapytała się go znów pani Eliza — wyglądasz pan...

Hrabia się odwrócił i spostrzegł złośliwy porozumiewawczy uśmiech księcia z Rodrygiem. którego treści, wywołanej niestósownie użytem słowem jego sąsiadki, się domyślił.

Zły, postanowił użyć siły woli i zapomnieć do jutra tych tysięcy i odmowy Kohna.

Świat nie powinien był nawet przypuszczać, aby hrabia miał kłopoty, czy kombinacyjne myśli.

A wokoło breku ciągle się roiło od młodzieży i kobiet nawet.

W breku siedziała przecież śmietanka, zebrana ze śmietanki *high lifu* warszawskiego.

Brakowało tylko pani Paryskiej, którą zaniedbywali Korońscy, bo za wiele w finansach bywała.

Nawet damy wychodziły z powozów i pod brek podchodziły, aby się przywitać z śliczną

http://rcin.org.pl

Leną, to aby uzyskać jeszcze zaproszenie na bal dla dopiero co przybyłego ze wsi kuzyna, to aby obejrzeć toaletę hrabiny, o której dziwy opowiadano.

Lena, jak prawdziwa wielka dama, była upojona tą uprzejmością, nie narzucającą się, owszem cichą i spokojną.

Podczas, gdy romawiała z księżną Światopełkową która przyszła ją prosić na jutro na śniadanie, pani Eliza uważnie jej się przypatrywała.

Nachyliła się do księcia Emeryka i szepnęła cicho.

— Uważaj książę, *comme la petite imite sa belle mère.*

Książę uśmiechnął się ironicznie, kiwnął głową i dodał.

— *On croirait, aussi une amie á l'imperatrice.*

Pani Eliza jeszcze raz objęła oczami Lenę, a na jej ustach długo bawił uśmiech zły, zazdrosny i szyderski.

Zazdrościła widocznie Lenie, może brylantów, może breku, może męża i tylko się pocieszała myślą, że to panna Kohn.

W tem zagadnęła ją hrabina:

— Księżna się pyta, czy jutro będziesz...

Pani Eliza niedosłyszała, czarująco się uśmiechnęła do Leny, nachyliła się do niej i zapytała:

— *Plait — il chèrie?*

W tem *chèrie* było tyle prawdy, szczerości, że w gwarze usłyszał je książę. Znów on spoczął oczami na pani Elizie i uśmiechnął się tym uśmie-

http://rcin.org.pl

chem, który w świecie bezustannie z oblicza na oblicze przelatuje.

Obie panie poszeptały chwilę, poczem Lena, zawsze tyłem stojąca w breku do strony, w której stał ekwipaż jej rodziców, nagle się odwróciła, jakby chciała coś tam zobaczyć.

Właśnie Ostoja stał przy powozach Kohnów i rozmawiał z Marją.

Lena zacisnęła usta, popatrzała chwilę i cicho, opierając się na ramieniu męża, zapytała go:

— A Ostoja?

Karol udał, że nie rozumie pytania.

— Co Ostoja? — odparł nieco szorstko.

— Czy będzie dzisiaj?

— Nie wiem! jak mu się będzie podobać.

Lena domyśliła się po odpowiedzi i jej tonie, że hrabiemu pytanie niemiłe nasunęło wrażenia.

Zapytał jednak po chwili łagodniej:

— Czy jest tutaj?

— Jest... rozmawia teraz z Marynią.

Hrabia rzucił przelotne spojrzenie w stronę Kohnów i zagryzł wargi.

Ten Ostoja go irytował.

Stary hrabia bowiem nie przyjął był w swoim czasie zaproszenia na ślub Karola.

Koroński to sobie przypomniał. Więcej nawet, bo niedość na tem, ale nadto Ostoja głośno w salonach na jego małżeństwo był się oburzał, a potem nietylko go unikał, ale zdawał się go formalnie lekceważyć.

Karol nie był przyzwyczajonym do tego w świecie, znienawidził też Ostoję, ale z drugiej

http://rcin.org.pl

strony go korciło, aby być dobrze z najbardziej wziętą i poważaną osobistością w arystokracji warszawskiej.

To bawienie Ostoi przy ekwipażu pani Kohn i pani Łęckiej, a ignorowanie tuż niedaleko stojących jego pojazdów wzburzało Korońskiego.

Czuł, że w nim krew kipi jak gdyby był doznał zniewagi..

Na dobitek nieszczęścia książę Pilawski dotknął ramienia Karola i zapytał go:

— Patrz! czy to nie Ostoja?... ot tam!

— Ostoja!

— A! jakżebym go chciał widzieć!

Karol milczał.

— Nie przyjdzie tutaj? może mu dać jaki znak?

Hrabia nic nie odpowiadał. Gorąco pragnął, aby się kursa skończyły. Spojrzał na niebo, które się chmurzyło.

— Gdyby tak deszcz lunął — myślał.

A książę dalej pytał:

— Czy nie jesteś dobrze z Ostoją? Czemuż wygląda, jakby starał się nas nie widzieć.

— Owszem... dobrze — odbąknął Karol.

— Z kimże rozmawia? — pytał dalej książę.

— Z matką i siostrą mojej żony.

— Tak... czemużeś mi wcześniej nie pokazał?

— Pozna ich stryj dziś wieczór.

— Ostoja formalnie nie chce nas widzieć — ciągnął dalej książę — a jesteśmy ze sobą bardzo, bardzo dobrze.

Książę Pilawski długo jeszcze za Karolem

http://rcin.org.pl

w breku się niepokoił i Ostoję śledził. Byłby sam do niego wyszedł, ale nie chciał się Kohnom prezentować w niewłaściwem miejscu.

Książę był wielkim formalistą.

Zapytał jeszcze Karola.

— Ale Ostoja na waszym balu będzie?

— Zapewne! — odmruknął tylko Karol.

Wkrótce potem ukończył się ostatni bieg. Zapanował zgiełk nie do opisania. Masy, dotąd nieruchome, nagle się ruszyły i falowały ku miastu. Ekwipaże nawracały, wymijały się. Konie zniecierpliwione długiem staniem, gwarem śmiechów i ściskiem, podskakiwały w lansadach i paradowały.

Karol jednym rzutem oka objął wygląd swych ekwipaży. Jeśli bowiem chodziło mu o nadzwyczajny ich szyk, to on teraz stał podwójnie. Powrót z kursów jest najważniejszą rzeczą, prawdziwą wystawą ekwipaży, na którą zbiega się cała Warszawa.

Skinął na furmana, powożącego landem jego matki, aby lepiej na munsztuku osadził bułanego ogiera. Sam dotknął końcem bata lewego lejcowego kasztana, cicho cmoknął wargami, nachylił się nieco naprzód, ręce nieznacznie wyciągnął i puścił dzielną czwórkę.

Nie widział nic, wpatrzony w konie, tylko słyszał szmer podziwu i pijany radością, rozpędzał rumaki i zazdrość obudzał w najlepszych woźnicach.

Na chwilę zapomniał o Kohnie i Ostoi, o wszystkiem! Wiedział tylko, że cała Warszawa podziwia jego i jego pojazdy. To mu wystarczało.

http://rcin.org.pl

Korońscy odwieźli panią Elizę i pannę Lewicz i powrócili do domu.

Zaledwie starczyło czasu na krótki obiad, który jednakże dopiero się skończył około dziewiątej.

Lena miała już opuścić salon, w którym podano czarną kawę i likiery, gdy wziął ją na stronę Karol:

— Wiesz — mówił — stryj ma dużo orderów, nie kładzie ich, tylko na występy oficjalne. Poproś go zgrabnie, to je włoży dzisiaj *ça fera bien.*

— *Certainement!* — zawołała Lena i zaraz pobiegła do księcia, który z błogim zadowolenia uśmiechem na ustach puszczał kłęby dymu z cygara.

Karol tymczasem wyszedł i zwołał do przedpokoju całą służbę.

Każdemu z osobna tłumaczył, jak się ma zachowywać, co robić, jak mówić, jak chodzić i jak się pytać, a jak odpowiadać.

Kozakowi Marcinowi który był najmniej pojętnym, dał całą lekcję trzymania rąk i meldowania wchodzących do salonów gości.

Hrabia stanął na środku komnaty i rozkazywał marszałkowi dworu, różne próbne szczegóły, które tenże służbie natychmiast polecał wykonywać.

I tak Marcin dziesięć razy musiał wchodzić do salonu i anonsować na próbę — niby księżnę Borysową.

Za każdym razem wymawiał jej nazwisko nie dość głośno, to może nie dość wyraźnie.

http://rcin.org.pl

Karol się złościł i kazał powtarzać aż do skutku.

Wreszcie udało się Marcinowi.

Poprawnie wszedł, postąpił trzy miarowe kroki, stanął, ręce nieco w tył opuścił i zagrzmiał.

— Księżna Borysowa!

Poczem usunął się jednym krokiem w bok, aby niby pozwolić przejść fikcyjnej księżnie, równocześnie nachylając głowy i zniknął.

— Dobrze! teraz dobrze! — zawołał hrabia — a spojrzawszy na zegarek', którego igły wskazywały już wpół do dziesiątej, wybiegł.

— Żeby mi tego Pomballa odstąpili! — mruczał — to bym nie miał tych utrapień. Egoiści!

Wpadł do swego gabinetu i czemprędzej przystąpił do swej toaley.

Podczas tejże dopytywał się jeszcze lokaja o różne szczegóły balowych przygotowań, których sprawdzić nie miał czasu

Wtem przypomniał sobie Marcina i nasunęła mu się uwaga, że kozak będzie śmiesznym anonsując swym stepowym głosem niektóre mniej szumne nazwiska, jak n. p. Kohnów.

Mogłoby to — myślał — wywołać niejeden uśmiech w gronie jego gości.

W koszuli więc jeszcze niezapiętej, tak, jak był w tej chwili, wybiegł, przeszedł przez wszystkie salony, które już zaczynano oświetlać i odszukał Marcina.

Temu cicho polecił.

— Uważasz durniu! jak będziesz meldował osoby więcej znane, no wiesz, takie, co częściej u nas bywają, to nie potrzebujesz tak głośno krzyczeć. Rozumiesz?

http://rcin.org.pl

— Rozumiem! jaśnie hrabio — odparł Marcin — naprzykład pana Bywalskiego, to trza ciszj.

- Głupiś! — zawołał hrabia rozdrażniony, ale nagle się uśmiechnął i dalej mówił — no tak, pana Bywalskiego, państwa Kohn i innych, to ciszej. Rozumiesz?

— Rozumiem, jaśnie hrabio!

Karol uspokojony powrócił i kończył swoje ubieranie się.

W tem znowu nasunęła mu się jakaś myśl. Zadzwonił na marszałka dworu.

— Czyś nauczył — zawołał do niego, gdy wszedł — portiera, jak komu ma się kłaniać?

— Nauczyłem.

— Pokaż, jak!

Kamerdyner chwycił leżącą laskę hrabiego i pokazywał nią ruchy portiera.

Reszty toalety hrabia już dokończył bez przerwy i wszedł do oświetlonych salonów gdzie jeszcze nie było Leny ale gdzie już ostatnie rozkazy służbie wydawała jego matka. Uśmiechnął się do niej i zawołał:

— *Que vous êtez bonne maman!*

Hrabina kiwnęła mu główką i dalej rozkazywała.

— Jeszcze jednę lampę, któraby lepiej oświetlała portret hetmana... kandelabr ten ztąd wziąć.. postawić go na kolumnie przy portrecie cesarzowej... a reflektory dwa... *n'est ce pas...* przy portrecie pani hrabiny...

Służba wykonywała, a Karol przypatrywał się matce, która choć w czarną aksamitną suknię ubrana, jaśniała od brylantów.

http://rcin.org.pl

— Czy mama myśli — zapytał — że Lena będzie miała dość na sobie kosztowności?

— Jeśli jej matka przysłała swoje czarne perły?

— Nie wiem! — odparł Karol i chciał pobiedz do pokoju żony, ale ta stanęła we drzwiach.

Była przepyszną w swej żółtej morowej sukni, ubranej koronkami i w dziesięciu rzędach swoich i pani Kohn czarnych pereł na szyi, z diademem, naśladującym koronę hrabiowską we włosach.

— *Vous êtez belle* — zawołała hrabina i zbliżyła się do Leny, oglądając najprzód perły — *elles sont magnifiques ces perles*, mogłaby ci matka je darować.

— Tymczasem mi je pożyczyła — odparła Lena.

Hrabina opuściła lornetkę i odwracając się do Karola, szepnęła:

— *Les egoïstes.*

Karol podziwiał żonę. Szczegółowo badał każdy szczegół jej toalety, co z odległości czyniła także jego matka.

— *Lena chérie* — mówiła — podnieś prawą różę... tę... w koronkach... dobrze. Zdjęłabym na twem miejscu *ca petit bracelet*, ten diadem śliczny.. *quel feu!*.. bardzo dobrze!

Karol zbliżył się do matki, która jeszcze się przypatrywała synowej i zagadnął:

— *Elle a bien grand air?*

— *Mais oui* — odparła hrabina i cofnęła się.

Równocześnie dał się słyszeć turkot w bra-

http://rcin.org.pl

mie pałacowej, a wkrótce potem Marcin swym kolosalnym głosem w pustych salach zaanonsował pierwszego gościa.

Przez godzinę całą napełniały się salony Leny, która stała u drzwi wchodowych.

Śmietanka arystokratycznego towarzystwa całej Polski niemal, przybywała złożyć hołd świeżej lwicy salonów warszawskich.

Marcin coraz więcej ochrypłym głosem meldował bez wytchnienia.

Mimo to, gdy zawołał - państwo Kohn — Karolowi się zdawało, że uczynił to jeszcze za głośno.

Wreszcie zrobiło się w licznych salonach ciasno i gorąco. Muzyka zabrzmiała. Otwarto salę balową, buchnęło świeże powietrze. Karol z księżną Rodrygową przetańczył jeden *tour*, walca — bal się zaczął . . . . . .

. . . . . .

Podczas mazura Lena przysunęła się do ojca i szepnęła mu pytająco:

— Jakże, *c'est bien?*

— Twój mąż jest geniuszem! — odparł bankier, opuszczając dziwnym gestem swoje ręce wzdłuż ciała.

Równocześnie Karol zbliżył się do księcia stryja i biorąc go pod ramię, poprosił:

— *Dites quelquechose d'aimable à mon beau père.*

— Ależ i owszem — odparł książę — gdzież jest?

Karol poprowadził księcia, przykrytego orderami, do Kohna.

— Mój stryj szuka papę! — zawołał, zo-

http://rcin.org.pl

stawiając księcia przy bankierze, który pomięszany aż wstał.

Obaj przeszli do fumoiru i długo z sobą rozmawiali. Książę zachwycał Kohna swoim pańskim kosmopolitycznym sposobem bycia.

Gdy powrócili nazad do salonów, oblicze Kohna wyglądało rozpromienione.

Stojący we drzwiach sali balowej Karol obserwował teścia, który zdawał się kogoś szukać oczami.

Zbliżył się do niego, a ten zaraz spostrzegając go, zawołał:

— Szukam cię.

Wsunął swą rękę pod ramię zięcia i pociągnął go do dalszych komnat mówiąc:

— Śliczny bal... nadzwyczajny... a twój stryj, cóż za miły człowiek, cóż za... a te ordery, ileż ich ma!

Karol nachylając się do teścia, wyliczył mu ordery księcia.

— Hm... hm... — mruczał bankier — prawdziwy wielki pan. A Lena, jaka ładna... jaka ona musi być szczęśliwa... dziękuję ci drogi Karolu!

Przystanęli, bankier bowiem się rozczulił i pragnął uściskać zięcia.

Hrabia poddawał się tym pieszczotom, zerkając nieznacznie we drzwi, czy ich kto nie widzi.

Znów ruszyli dalej, a Kohn mówił:

— Cieszę się, że Łęcki to widzi. On o niczem pojęcia nie ma...

— Czyż tak? doprawdy? — podchwycił hrabia.

http://rcin.org.pl

— O niczem! — ciągnął dalej Kohn — wystaw sobie, darowałem im ośmioresorową karetę... dla Maryni... jak była... wiesz? To, czy uwierzysz, chcą ją sprzedać... na jakiś tam cel apteczki domowej... Pojęcia o niczem nie ma...

Nastało milczenie, które znów przerwał Kohn...

— Żądałeś odemnie wczoraj... *une bêtise... un rien* .. źle byłem usposobiony... przepraszam cię... Jutro rano, *en vous reveillant* będziesz miał, coś żądał.

Karol wyciągnął rękę, aby teściowi podziękować, ale tenże znów przystanął i uściskał go.

Powracali do salonów i Kohn mruczał:

— *C'est parfait...* i tak pańskie... magnackie...

http://rcin.org.pl

IV.

Łęccy zaraz po wyścigach powrócili do Zyblówki, gdzie zamierzali spokojnie spędzić całe lato.

Marja zajmowała się bowiem bardzo energicznie domem i ogrodem, a Witold prócz gospodarstwa rolnego, miał fabryki i interesa.

W Zyblówce też rezydowała matka Witolda z jego siostrą, Heleną.

Rano na śniadanie schodzili się wszyscy na werandę krytą i obwiniętą dzikiem winem, z której cudowny roztaczał się widok na równy, ale malowniczy podolski pejzaż.

W stuletnim parku o ślicznych kląbach i perspektywach powycinane były luki, któremi oko mogło sięgnąć w szeroką dal.

Tu wśród brzóz wesołych i cienistych kasztanów, widać było step o owej żółtawo zielonej barwie, nieskończenie równy i smutny.

Tam wycięto szpaler grabowy, który otworzył widok na malowniczy młyn wodny.

A tam znowu w dole zacienione jezioro odbijało olchy i jasiony, po nad niem się piętrzące.

Marja kazała przyciąć gałęzi lipie, która w ten sposób pokrzywdzona pozwalała Witoldo-

http://rcin.org.pl

wi z werandy przypatrywać się swej złotogniadej stadninie, pasącej się na łąkach.

Tak też i dnia tego z uderzeniem godziny dziewiątej rano znalazła się cała rodzina Łęckich na werandzie. — Wesoło rozmawiali o tysiącach drobiazgów codziennego życia.

— Gdy pomyślę — odezwał się Witold, potaczając oczami po parku, oświetlonym gorącymi promieniami wznoszącego się ponad drzewa słońca — że są ludzie, którzy nie umieją oceniać tych przyjemności każdej godziny, jakie nam daje wieś i swój dom.

— Naprzykład Korońscy — podchwyciła Marja.

— Korońscy! — zawołał Witold — którzy nie mogą wytrzymać u siebie na wsi trzech dni.

Odwrócił się do matki i zagadnął:

— Bo, czy wie mama, że Lena pisała, iż tak im po dwu tygodniach pobytu w Krajkoronie się nudzi, iż zamierzają znowu wyjechać za granicę. Nie rozumiem tego... Nam tu tak dobrze! nieprawdaż Maryniu — dodał, obracając się do żony, która mu dziękowała za ten komplement cudownym, szczęście jej rzeczywiste zdradzającym uśmiechem.

— Tu tak pięknie — mówił dalej Witold — że pocóż szukać gdzie indziej piękniejszych pejzaży. Ot! patrz Maryniu! patrzcie. Czy można sobie wystawić piękniejszy obrazek? Te topole kanadyjskie podszyte zielonymi, jak szmaragd klonami jakąż cudowną tworzą całość, spokojną, harmonijną a tak oryginalną.

Helena się zaśmiała.

— Ależ mój Witoldzie! wątpię, żeby Koroń-

http://rcin.org.pl

scy jeździli za granicę, aby oglądać piękne grupy drzew.

— Więc pocóż u licha jeżdżą!

— Aby się bawić! — odparła Helena.

— Co to jest się bawić? Czyż można się gdzie lepiej bawić — tłumaczył dalej Witold — jak u siebie w domu, gdzie mam wszystko, gdzie mnie wszystko zajmuje, gdzie...

Nie dokończył, bo spostrzegł, że matka jego chciała i swoje zdanie objawić pod tym względem. — Zamilkł więc.

— Nie przerywam ci Witoldzie — odezwała się pani Łęcka — tylko chciałam zwrócić twoją uwagę, że tych największych przyjemności, które zwykle są blisko nas, nie wszyscy mają dar ocenienia.

— No Karol! zapewne! — mruknął Witold.

— Mnie się zdaje — ciągnęła dalej pani Łęcka — że Korońscy poprostu nie jadą za granicę, aby się bawić, tylko, aby się nie nudzić!

— *Que vous êtes mechante maman!* — zawołała Marja.

— Ot i poczta! — zawołał równocześnie Witold. Rzeczywiście pojawił się lokaj i złożył na stole przed Łęckim skórzaną torbę.

Witold pospiesznie ją otworzył i zaczął z niej wydobywać pliki gazet i listy.

Tych ostatnich było mało, pocztę bowiem Łęccy odbierali co dzień dwa razy, mając stację kolei w Zyblówce.

Rano przychodziła poczta w Warszawy.

Dnia tego nadeszły tylko trzy listy, dwa

http://rcin.org.pl

z etykietami fabryk do niego, a jeden do pani Łęckiej.

Witold oddał go matce. Ta przypatrzywszy się pismu, wyglądała zdziwioną.

— Pismo mi znane — szeptała — ale nie wiem od kogo.

Witold i Helena nachylili się do koperty.

— Nie lubię listów — mówiła dalej matka — adresowanych nieznanem mi pismem.

W tem Marja, siedząca po prawej stronie swej matki zawołała:

— Ależ to od Ostoi!

— Od Ostoi! — zawołali wszyscy, poznając dopiero charakter hrabiego.

Twarz pani Łęckiej okrył wyraz zaniepokojenia.

— Co hrabia może chcieć odemnie — szeptała — nigdy nie pisuje.

Ostrzem noża rozcięła grubą kowertę i wyjęła całą ćwiartkę papieru, zapisaną od początku do końca.

Czytała, a wszyscy mniej więcej zaciekawieni, jej się przypatrywali.

Stopniowo oblicze jej się chmurzyło, posępniało, przechodziło wszystkie fazy wyrazu, przeobrażającego twarz po otrzymaniu niespodzianej a niemiłej wiadomości.

Pani Łęcka z widoczną trwogą czytała dalej. Przerażenie ogarniało całe zgromadzenie, przed chwilą wesołe. Każdy wlepiał oczy w twarz matki, starającej się ukryć swe pomieszanie.

Gdy skończyła to czytanie, które wszystkim wydawało się bardzo długiem, zwinęła list i za-

http://rcin.org.pl

miast go położyć na stole przy sobie, jak to zwykle czyniła, schowała go do kieszeni swej sukni.

Nastało milczenie, które po długiej pauzie przerwał Witold jakiemś zapytaniem w kwestji domowej, zwróconem do żony.

Nikt nie pytał pani Łęckiej o treść listu Ostoi, który mógł tylko złe, czy smutne przynosić wiadomości.

Po kilkunastu minutach ochłonęła nieco matrona i zwróciła rozmowę do dawnego tematu wyjazdów za granicę.

Ale i ta rozmowa już nie szła, bo każdy z osobna czuł, iż pani Łęckiej myśli siliły się na odwrócenie uwagi od jej pomieszania, które mimo pozorów i maskowania, wzrastało widocznie.

Wreszcie wstała i wysunęła się z werandy.

We drzwiach, do których tyłem odwrócona siedziała Marja, przystanęła i dała znak Witoldowi, który tenże widział i zrozumiał, bo oczami w niepochwytny sposób skinął potakująco w odpowiedzi.

Chwilę jeszcze bawił przy stole, nadrabiając miną i siląc się na wesołość, poczem wstał, jakby z zamiarem wyjścia.

— Już odchodzisz Witoldzie? — zapytała Marja.

Na kilka minut tylko — odparł Łęcki — przejdę do kancelarji... listy w interesach cukrowniańych ważne... muszę je zaraz posłać do fabryki.. Zaraz wracam!

http://rcin.org.pl

Uchwycił szare bibulane koperty i wybiegł.

Ale nie podążył do kancelarji, tylko pospiesznie pobiegł na pierwsze piętro do pokoju swej matki.

Ta siedziała z listem Ostoi. Gdy Witold wszedł, wręczyła mu papier, mówiąc:

— Czytaj! Kohnowie bankrutują.

Łęcki zbladł i uchwycił pismo, które szybko przebiegł oczami.

— I cóż myślisz zrobić? — zapytała matka.

Witold rzucił się na fotel i po dobrym namyśle zaczął.

— Co do mnie, nie podzielam zdania hrabiego, abym miał prawo żądać od Kohnów wypłaty posagu Marji w tej wysokości, w jakiej go dał pani Korońskiej

— Dla czego? — zapytała pani Łęcka.

— Dla tego, że ojcu wolno faworyzować jednę córkę.

— Ależ Marja nie powinna pozwolić na swoją oczywistą krzywdę!

— To od niej zależy.

Nastało długie milczenie, które przerwała pani Łęcka, zaczynając tonem spokojnym.

— Ostoja jest zdania, abyś zaraz pojechał do Warszawy i wymógł na twym teściu zabezpieczenie twej żonie takiej sumy, jaką podniósł Koroński. Czy tak?

— Tak!

— Jestem zupełnie jego zdania — ciągnęła dalej pani Łęcka — masz dzieci, możesz ich mieć więcej... Skoro Ostoja znajduje, że jeszcze jest czas, ostatnia chwila do uregulowania inte-

http://rcin.org.pl

resu twej żony, obowiązkiem twym jest dołożenie wszelkich starań, aby nie była pokrzywdzoną. Tu nie występujesz jako konkurent, dopominający się o posag, tylko działasz w imieniu twej żony.

Witold się zamyślił i odparł.

— Trzebaby więc znać pod tym względem wolę Marji.

— Biedna! — westchnęła pani Łęcka — nie domyśla się nawet katastrofy.

— Ależ — przerwał Witold — o katastrofie jeszcze mowy nie ma.

— Wszakże pisze Ostoja, że musi nadejść, że Koroński go rujnuje, że sam Kohn jakby dostał obłędu, że pcha wszystko w tego miłego zięcia... ja to dawno przeczuwałam.

Po długiem milczeniu Łęcki zapytał matki

— Czy mama myśli, że Marji trzeba całą odkryć prawdę.

— Ależ naturalnie!

Witold wstał i biorąc list hrabiego, wyszedł.

Spokojnym krokiem podążył na werandę, gdzie zastał jeszcze Marję, bawiącą się ze swym rocznym chłopczykiem.

Z twarzy Witolda poznała ona zaraz, że jej ma coś niemiłego do zakomunikowania.

Oddała dziecko niańce i zbliżyła się z wyrazem trwogi na twarzy do męża.

Ten objął jej kibić i pociągnął ją do ogrodu. Wkrótce zniknęli za zacienionymi szpalerami drzew.

Chodzili po parku i rozmawiali.

Co chwila łzy zwilżały oczy Marji. Uspokajał ją Witold, okrywał pocałunkami i znów

http://rcin.org.pl

szli, radząc nad szczegółami, nasuniętymi listem Ostoi.

Gdy wrócili z parku, zastali już w dużym letnim salonie panią Łęcką i Helenę.

Marja pobiegła się przebrać, bo zbliżała się godzina obiadu, a Witold znacznie na obliczu wypogodzony, usiadł między matką i siostrą i zaraz tak zaczął:

— Jak widzi mama, omawialiśmy tę kwestję — tu spojrzał na zegarek — kilka godzin. Marja zdała się zupełnie na moje pod tym względem zapatrywanie. Ja... ja nie chciałbym w przededniu może bankructwa podnosić czy zabezpieczać sumy, do których rzeczywistego prawa nie mam, a któreby mogły obniżyć czy sprowadzić stratę sum wierzycieli domu. Dzięki Bogu, mamy fortunę, która z dnia na dzień rośnie. Paliłyby nas pieniędze, uzyskane może krzywdą innych...

Pani Łęcka, która słuchała uważnie syna, nie odpowiadała, aż po długiem milczeniu.

— Jeśli tylko takie jest was obojga zdanie, jeśli tylko przewidzieliście możliwe konsekwencje... to nie można być innego, jak twego zdania. Nie jedziesz więc?

— Nie!

— Jeśli jednak — zaczęła znów pani Łęcka — podniesienie, czy zabezpieczenie tej nadwyżki posagu Leny od posagu Marji nie krzywdzi nikogo, tylko Korońskiego, który mniej będzie mógł swego teścia wyzyskiwać...

— I to wzięliśmy pod rozwagę — przerwał Witold.—Ale rzecz tak się ma. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, iż gdybym to żądanie oświadczył Kohnowi, uczyniłby mu zadość. Nie ma

http://rcin.org.pl

bowiem podstawy do odmowy, nie biorąc w rachubę tego, że matka, kochająca więcej Marję, niż Lenę, mnie, niż Korońskiego, ma zabezpieczone swoje sumy. W takim jednak razie, kto wie, czy nagłe zniknięcie czterech kroć sto tysięcy, bo tyle więcej wybrał Koroński z masy domu odemnie, nie zachwiałoby interesami Kohna. Proszę wejść w delikatną pozycję Marji względem rodziców. Jakkolwiek więc te interesa stoją to z jednej strony pewne poczucie delikatności, z drugiej obawy moje nie pozwalają nam nic przedsiębrać. Co do mnie, ja żadnej do niczego nie roszczę sobie pretensji... Kohn wypłacił mi tytułem posagu Marji więcej, niż obiecał, a w małżeństwie na nic więcej nie liczyłem.

Pani Łęcka wstała i uściskała syna Równocześnie dał się słyszeć dzwonek, zwiastujący domownikom porę obiadową i weszła ze swych pokoi Marja.

Zmienioną była niezwykle, oczy jej zaczerwienione od łez, zdradzały wielkie cierpienie, z którem się kryła.

Ona kochała ojca, matkę, kochała ich mimo wszystko, najwięcej po Witoldzie.

Bolało ją, że będąc w trudnych przejściach, nie wzywali jej.

Wystawiała sobie z treści listu Ostoi rzeczy może w daleko gorszym stanie, niż były.

Mimo to uśmiechnęła się do obecnych w salonie, ale w tym uśmiechu było tyle wyrazu bolu, moralnego cierpienia, że aż łzy stanęły Witoldowi w oczach.

http://rcin.org.pl

Zbliżył się do niej i przycisnął ją do piersi...

— Marjo moja droga! — szepnął, — nie martw się, to są rzeczy...

Nie dokończył, bo młoda kobieta załkała w jego objęciach.

Jej się zdawało, że się z dniem bankructwa Kohnów dla niej wszystko kończy, że wszystko traci. Zapominała, że pozostaje jej mąż, który z nią się ożenił, nie z córką milionowego bankiera.

Cierpiała za ojca, za matkę, ale najwięcej za Witolda. Zdawało się jej, iż to bankructwo, przewidywane dopiero, odebrałoby jej Witolda, dzieci, szczęście domowe, o które jedynie prawdziwie stała.

Zapomniała o wszystkiem, a pamiętała tylko, że wzrosła w pojęciach, świata, w którym majątek tylko dawał pannie Kohn szczęście.

Pani Łęcka i Helena rzuciły się do Marji. Okrywały ją pieszczotami, uspakajały, jak mogły.

Marja powoli przyszła do siebie.

Zaraz po objedzie, lokaj oddał Witoldowi depeszę.

Łęcki przyzwyczajony był do telegramów, przychodziły one ciągle w interesach cukrowni, to z Kijowa, to z Warszawy i innych miast.

Ta jednak go zaniepokoiła. Rozerwał kopertę. Przeczytał gorączkowo sam, potem głośno te kilka słów: „Witolda proszę przybyć zaraz Kohnowa."

Ten telegram uspokoił nieco całą rodzinę. Za kilkanaście godzin Witold mógł wiedzieć dokładnie o wszystkiem i donieść Marji. Bez zwło-

http://rcin.org.pl

ki więc spakował się i pierwszym popołudniowym pociągiem pospieszył do Warszawy.

Marję uspokajała zaś okoliczność, że jej męża wzywano, że więc byłaby go matka prawdopodobnie wcześniej zawezwała, gdyby było tak źle, jakby się zdawało z listu przezornego Ostoi.

Po nocy, spędzonej w wagonie, na drugi dzień rano, o dziewiątej godzinie, Łęcki znalazł się w Warszawie, w pałacu Kohnów.

Wtedy dopiero ochłonął. Na pozór wszystko tu wyglądało, jak dawniej, jak zawsze. Ukradkiem spojrzał na fizjognomje służby, które najwyraźniej zwykle zdradzają ewenementa domowe. Nic z nich nie wyczytał. Na tych wygolonych obliczach, panował spokój na jutro zapewnionego dobr bytu.

Pomballe go powitał już na uperfumowanych schodach z uśmiechem na ustach słowami:

— *Madame vous attend Monsieur*!

Witoldowi pilno było dowiedzieć się czegoś, z czegoby mógł rzeczywisty stan rzeczy w pałacu Kohnów wywnioskować. Zapytał więc.

— *Et Monsieur?*

— *Monsieur est deja á la bourse.*

— *Et la comtesse Korońska?*

— *Le comte et la comtesse sont partis hier pour Ischel.*

— Dobrze! — pomyślał Witold i pobiegł na górę, wypogodzony na twarzy, z bijącem sercem z radości. Spodziewał się katastrofy w pełni, a ta z tego, co widział i słyszał, wydawała mu się być bardzo odległą.

Pani Kohn wyszła naprzeciw niego. Twarz

http://rcin.org.pl

jej była zmienioną i nie harmonizowała dla bystrego spostrzegacza z otoczeniem.

Po przywitaniu zaraz poleciła podać zięciowi śniadanie w jej gabinecie i niezadługo, wywiedziawszy się o zdrowie córki, zaczęła:

— Sproiwadziłam cię, mój Witoldzie, w własnym twoim nteresie...

Łęcki zrobił minę zdziwioną, a pani Kohn dalej po krótkiej przerwie mówiła:

— Nieraz ci wspominałam o nieszczęściu, które, zdaje się weszło do naszego domu jednemi drzwiami, podczas, gdy drugiemi wchodził Koroński. Od dnia ślubu Leny straciłam spokój, pewność jutra, straciłam wszystko, bo nawet zaufanie do mego męża, który ukrywa przedemną rzeczywisty stan interesów, aby swobodniej módz rywalizować w zbytkach z zięciem.

Tu pani Kohn urwała i podniosła ramiona z ruchem głowy przytem, mającym znaczyć absolutne nierozumienie objawu tego u męża.

Łzy stanęły jej w oczach, które wysiłkiem woli powstrzymała i dalej ciągnęła.

— Ja nic nie wiem od roku i byłabym dalej się łudziła, gdyby dobroczynny świat nie był mi otworzył oczów. Wczoraj pani Kinsztein zadała mi nic nieznaczące pytanie, które mi dało dużo do myślenia. Zawezwałam Wilhelma i ten mi wyjawił po długich pertraktacjach, że nie tylko Koroński podniósł siedm kroć sto tysięcy, lecz nadto dom doznał w ostatnich czasach dotkliwych strat. Wystaw sobie...

Pani Kohn się zaśmiała i dalej mówiła tonem zbolałym i jakby szyderskim :

— Podczas wyścigów tegorocznych w Pe-

*

http://rcin.org.pl

tersburgu odbyło się posiedzenie kolejowe, które mogło dom nasz, mimo Korońskiego, postawić na nogi. Chodziło tu, jak się zdaje, o jaki miljon rubli zysku w przedsiębiorstwie, które chcieli dać Kohnowi, byleby był pojechał...

— I nie pojechał?

— Nie! — zawołała niewiasta — bo dzień posiedzenia, był dniem balu u Korońskich. Tego przecież mój mąż opuścić nie mógł. Ewelsohn wziął antrepryzę i do dziś już ją ustąpił z ośmiomakroć zysku.

Witold się zamyślił, wzdychając tylko.

— To nie do uwierzenia!

Pani Kohn podchwyciła te słowa, powtórzyła je kilka razy, i dalej mówiła:

— Takie wypadki, *à ce qu 'il parait*, są teraz na porządku dziennym. Po co ci je mam opisywać, sama je znam przypadkiem i nigdybym ich nie przypuszczała, widząc szalone mego męża fantazje. Urządzenie Rzeźbowa, które musi być odpowiedniem na przyjęcie tak wielkiego pana, jak Koroński, kosztuje dotąd trzykroć!

Dwie łzy, które dłużej nie mogły się utrzymać w źrenicach, spłynęły po policzkach niewiasty, a żywe rumieńce okryły jej twarz całą, aż do białka pałających ogniem ócz.

— *Il n'y a pas de fortune, qui y tienne* — zawołała nagle z desperackim gestem ręki — chwiejemy się podobno, upadniemy niezawodnie. Ojciec mnie zapewnia, że wszystko obróci się na dobre, ale czyż mogę mu wierzyć, gdy widzę, że stracił głowę do interesów, energję i bystrość... *ça croule... voila!*

Łzy spłynęły potokiem po jej twarzy. Wi-

http://rcin.org.pl

told ją pocieszał, jak mógł, przedstawiał projekta i różne kombinacje, których matka jego słuchała obojętnie.

Po półgodzinnym blisko cichym płaczu, przerywanym tylko krótkiemi zapytaniami i odpowiedziami, pani Kohn, nieco uspokojona pozornie, zaczęła, odpowiadając na cały szereg rad i pomysłów Witolda:

— *Il n'y a rien à faire...* gdyby dziś się zlikwidował, zostałaby jeszcze *une belle fortune*, ale o tem mowy nie ma.

Nachyliła się do Witolda i szepnęła cicho:

— *Il est fou...* Gdym mu zaproponowała likwidację, odpowiedział mi, że potrzebuje trzy kroć dochodu. *Or vous comprenez...* Nie ma o czem mówić.

Zamyśliła się i stanowczym głosem wkrótce znowu zaczęła.

— Wezwałam cię, abyś z ojcem uregulował interesa Marji. Lena wzięła siedm kroć... Marja nie może być pokrzywdzoną!

Witold chciał coś matce przedstawić, ale ta machnęła ręką i dalej mówiła:

— To jest moją niezłomną wolą. Mam do tego prawo Jest czas, ostatni czas po temu. Jeśli dziś tego nie zrobimy, Koroński pochłonie jej fortunę, twoją, twoich dzieci! Dziś uregulujesz ten interes z ojcem, a jutro...

Niedokończyła, tylko ręką machnęła i opuściła ją na swój pluszowy szlafrok.

Witold zaczął jej powoli przedstawiać wszystkie te argumenta, które sprawiły, że poprzedniego dnia nie poszedł za identyczną radą hrabiego Ostoi.

http://rcin.org.pl

Pani Kohn wysłuchała go uważnie, a gdy skończył, odpowiedziała tylko:

— Wszystko to nie zmienia mej woli. Wniosłam znaczny majątek memu mężowi, który się powiększył. Mam prawo żądać zabezpieczenia fortuny, słusznie się należącej mej córce. Bądź łaskaw usłuchać mnie. Działasz tu nie w twojem, tylko w mojem imieniu, a ja mam prawo przecież dbać o los mego dziecka:

Pani Kohn więcej nie mówiła, wstała i zaczęła się przechadzać po pokoju.

Witold przypatrywał się jej ze zdziwieniem. Nie znał jej taką, jaką widział. Twarz jej, jakkolwiek nosiła ślady dłuższych już cierpień, była jeszcze piękną i niszwykle wydała mu się zdecydowaną i odważną.

— Wola matki będzie spełnioną, jednakże, jeźli jeszcze interesa ojca tak źle nie stoją... — zaczął Witold, ale pani Kohn mu nie pozwoliła dokończyć.

Stanęła nad nim i zawołała.

— Czyż chcesz czekać, aż będzie zapóźno, aż Koroński...

Urwała i po chwili dopiero dodała:

— Nie rozumiem cię.. obowiązkiem twoim było dawno pomyśleć o niepozwoleniu na możliwe skrzywdzenie Marji.

— Ale... — zaczął Witold.

I tym razem przerwała matka.

— Nie bój się! — mówiła — zrównoważenie Marji z Leną nie pociągnie za sobą niczyjej krzywdy.

— Jest matka tego pewną?

— Skoro ci mówię!

http://rcin.org.pl

Witolda oblicze się rozjaśniło, ale wnet zagadnął:

— Ale może zachwiać domem... może...

Pani Kohn zrobiła ruch desperacki.

— Cóż ci tak chodzi — zawołała — o wygody Korońskiego? czy może o to, aby w Rzeżbowie nie dziesięć, ale dwadzieścia pokoi kapało złotem. *Vous êtez fou mon cher!*

Spojrzała na zegar z sewrskiej porcelany stojący na kominku i dodała.

— Jedenasta... zapewne zechcesz się przebrać, o dwunastej możesz z ojcem pomówić... trzeba skończyć, bo sypiać nie mogę. Ta myśl, że Marja może być pokrzywdzoną, że ty...

— Ah ja?...

— Ta myśl mię trawi. Możemy wszystko stracić, ale ja nie chcę mieć sobie nic do wyrzucenia względem Marji... ciebie...

Podała rękę Witoldowi, którą tenże pocałował i oddaliła się.

Łęcki podążył do swego pokoju.

W jednym z salonów spotkał Pomballa, perfumującego salony. Zapytał go, czy na śniadaniu będą goście.

— *Mais certainement* — odparł Francuz — *le dejeuner est des six personnes, le dîner des douze comme d'habitude.*

Łęckiemu w głowie się [illegible] wszystko mięszało: tu łzy, straty, bankructwo, [illegible] tuż obok serje fet i obiadów w oszołomiając[illegible] zbytku i przepychu.

Natychmiast wysłał uspokajający telegram do Marji, a gdy kończył swoje przebranie się, usłyszał turkot powozu.

http://rcin.org.pl

To bankier wrócił z giełdy.

Nie było czasu do stracenia, Kohn bowiem tylko pół godziny bawił w gabinecie, poczem przyjmował już interesantów w kantorze aż do śniadania...

Witold wolał z nim pomówić w jego prywatnym apartamencie.

Opuścił więc swój pokój i dążył przez szereg pokoi.

Szedł wolno. Serce mu biło, jak młodzikowi, przed tym krokiem, który był wstrętnym całej jego naturze. Zastanawiał się i nie wiedział, jak zacząć nieumotywowane niczem swoje żądanie. Nie chciał przedstawiać w złem świetle jako córki, Marji, nie chciał też dać do zrozumienia Kohnowi, że działa, ulegając woli matki.

Zatrzymał się w galerji przed obrazem Siemiradzkiego przedstawiającym nagie kobiety i przypatrywał się im.

Ale ich nie widział nic a nic — w głowie mu się roiło. Atmosfera tego pałacu, w którym niepodobna było przypuszczać ruiny, wczorajszy płacz Marji, dzisiejsza rozmowa z panią. Kohn wszystko to razem oszołomiało jego umysłowa trzeźwość.

Nagle otrząsnął się i pospieszył prosto do gabinetu Kohna.

Bankier siedział przed swem biórem zawalonem papierami i przeglądał depesze, które leżały przed nim.

— A Witold! — zowołał wstając nieco i wskazując zięciowi fotel, który zawsze stał gotów dla odwidzających go interesentów.

http://rcin.org.pl

Podał mu rękę, kiwnął głową z wymuszonym wyrazem radości, że go widzi i zaczął:

— Cóż za niespodzianka! Nic nie wiedziałem żeś miał przyjechać... Dowiedziałem się dopiero... teraz... na dole. Doskonale wyglądasz, doskonale! Jakże Marynia? dzieci?

— Dziękuję ojcu — odparł Witold — wszystko zdrowo i dobrze.

Tu spojrzeli sobie obaj w oczy i bankier odgadł widocznie, że Witold z interesem przychodził, bo wyraz jego twarzy się zmienił.

Milczenie żenujące przerwał Witold, nie umiejący długo grać komedji.

— Jeśli ojca tutaj zaniepokajam, to dla tego, że mam do niego interes... w tym interesie nawet przyjechałem

Kohn zbladł i spojrzał bystro na zięcia.

— Czybyś może potrzebował pieniędzy — podchwycił.

Witold poczerwieniał, na całej twarzy.

— Nie... bynajmniej... — zamruczał z razu, a uśmiechając się ironicznie dodał — nie jestem Korońskim, choć w tym wypadku to może się wydam do niego podobnym.

Kohn struchlał i poprawił się na fotelu, a żeby ukryć swoje pomięszanie, zawołał:

— Pierwszy raz słyszę cię złośliwym, ale czemże mogę ci służyć, skoro juz wiem o co mniej więcej chodzi.

Ochłonąwszy podczas tych kilku słów, dalej mówił już pewniejszym tonem:

— Interesa w familji dla ludzi, jak ja zaję-

http://rcin.org.pl

tych, są najnudniejsze, bo zwykle zaczynają się od wstępu...

Tu Witold przerwał:

O! jeśli o to chodzi, to i bez tegoż potrafię ojcu go przedstawić.

Zpąsowiał, bo dostrzegł w fizjognomji teścia, że tenże już się domyśla, o czem on mówić zamierza i że chce go swoim sposobem traktowania interesów tylko po finansowemu zdetonować.

Dalej też tak mówił:

— Zaczynam od rzeczy.

— Proszę! — bąknął przerażony bankier.

Witold poprawił się na fotelu i zaczął na nowo:

— Zaczynam więc od rzeczy. Interes jest delikatnej natury...

— Ależ umowa nasza... — podchwycił, jakby z radością Kohn — *nous sommes pour le moment deux hommes d'affaire.*

Łęcki poczerwieniał ze złości, że tak mu trudno przychodziło upomnieć się u teścia o swoje prawa i stanowczym głosem zaczął:

— Rzecz tak się ma: Powszechnie mówią, że ostatniemi czasy interesami ojca różne okoliczności zachwiały. Wobec tego, czuję się w obowiązku zwrócenia uwagi ojca na...

— Na co? — przerwał zaczerwieniony Kohn.

— Na to, że Koroński wybrał trzy razy tyle, niż Marja.

— Któż to powiedział? Czy i to także powszechnie mówią? — przerwał bankier z naciskiem ironicznym na każdym słowie.

Witold wyglądał, jakby już tracił moc zapanowania nad sobą i zawołał:

http://rcin.org.pl

— Tak jedno jak i drugie jest rzeczą powszechnie wiadomą i jako opiekun mojej żony, jako ojciec jej dzieci chcę wiedzieć, czy Marja ma być pokrzywdzoną.

— Pokrzywdzoną! — zawołał bankier, zrywając się i pąsowiejąc — pokrzywdzoną! zapominasz się mój Witoldzie — dodał tonem ostrym.

— Nie! — podchwycił Łęcki — nie zapominam się, tylko mówię rzeczy tak, jak są. Bo przecież jasną jest rzeczą, że gdyby interesa ojca niepomyślny wzięły obrót, Marja w dziale rodzinnym...

— Przepraszam bardzo — zawołał bankier — nikt nie ma prawa mnie zmuszać do działów. Czy chcecie nas już pogrzebać... hahaha...

Zaśmiał się nerwowo i kończył tonem zmienionym:

— Podobało mi się, panie Łęcki, dać siedmkroć hrabiemu Korońskiemu, a nie podoba mi się dać więcej...

Urwał, bo w tej chwili we drzwiach stanęła jego żona, pomięszana i rozdrażniona.

— Przepraszam cię — zagadnął łagodnie — ale teraz *nous parlons affaire avec Witold.*

— Owszem, skończyliśmy — podchwycił, wstając Łęcki — więcej nic wiedzieć nie pragnę...

I zmierzył ku drzwiom, ale go zatrzymała pani Kohn.

— Zostań Witoldzie.

Obróciła się do męża i dodała:

— Wiem, o co chodzi. Ja żądałam od Witolda tego, co teraz uczynił.

— To jest czego? — przerwał Kohn.

http://rcin.org.pl

— Zrównania majątkowego Marji z Leną — odparła spokojnie pani Kohn.

— Jak to? teraz? zaraz? natychmiast mam wypłacić kilka kroć?.. *mais c'est absurde ma chère...* to szaleństwo! — śmiał się nerwowo bankier i ciągnął — ja teraz, co znajduję się w chwilowych trudnościach, mam.. ależ moja droga Elżbieto *tu deviens folle!*

Pani Kohn usiadła na fotelu, jakby ze zmęczenia, a bankier chodził, gestykulował, piorunujące rzucając wejrzenia to na żonę, to na Witolda.

Wreszcie zaczęła znów pani Kohn:

— Tu nie chodzi o wypłacenie tych sum Marji, ale o zabezpieczenie ich jej przynajmniej. Jeśli jednej mogłeś...

— Ależ to widzę — podchwycił przerywając żonie bankier — że to formalny, urządzony na mnie spisek i ty w nim.... Ja dziś nic zrobić nie chcę, nie mogę.

— A mogłeś Lenie?...

— Zmieniło się, *je mis dans une position difficile, je...*

— Zahipotekuj różnicę.

— Hipoteka u bankiera, to gotówka — fuknął bankier, a obracając się do Witolda, dodał — nie przypuszczałem, abyś tak prędko znalazł się w potrzebie...

— Bynajmniej.

— Ależ trzeba być w ostateczności, aby wystąpić z podobnem żądaniem. Ja posag Marji wypłaciłem, wypłaciłem go co do grosza... Ja...

— Ojciec dał nawet więcej, niż... — wtrą-

http://rcin.org.pl

cił Witold, a Kohn niepozwalając mu dalej mówić zawołał:

— Więc?

Tu znów wmięszała się pani Kohn.

— Ależ to ja pragnę, aby Marja nie ucierpiała na utracjuszowstwie Korońskich.

— Utracjuszowstwie! — podchwycił Kohn — hahaha... Karol jest *un homme, qui sait vivre* i nazywają go utracjuszem. Cóżeści chcieli? aby tak może, jak Łęcki siedział na wsi, orał i siał... hahaha! siał i orał, *c' est bon pour les autres, pas pour un homme de son espèce.* Ja kontent jestem z Karola. Chcecie może?

— Ależ nie, niechcemy — przerwał Łęcki, którego twarz okrywała się purpurą — nic!

— To ja sobie tego życzę — znów wtrąciła pani Kohn.

— A ja nic nie zrobię — zawołał bankier — dałem dwa kroć siedmdziesiąt, to aż nadto na życie w Zyblówce, *une misérable vie de petit gentilhomme.*

Łęcki się zaśmiał z rozdrażnienia, a Kohn wściekły wołał:

— Koroński traci, ale przynajmniej wiem, na co traci. *Certainement...* nie pokrzywdzę Marji, ale ja nie umieram...

Mruczał jeszcze chwilę, biegając po pokoju, a gdy się nieco uspokoił, zaczęła spokojnie pani Kohn:

— Jeśli tak, to ja sobie życzę, aby cała różnica tego między tem, co podniósł Karol, a tem cośmy dali Marji, była zabezpieczona na moim majątku.

http://rcin.org.pl

Bankier usłyszawszy te słowa przystanął tuż nad żoną, załamał ręce i po chwili zawołał:

— To chcecie mnie dobić!

Głuche milczenie było całą odpowiedzią, a Kohn ochłonąwszy zagadnął żonę:

— Ale czyś się zastanowiła, że w tej chwili, taki choć tylko hipoteczny przelew może zaniepokoić wierzycieli? Czyś się nie zastanowiła nad tem, że obcy słusznie mogą mi odebrać swoje zaufanie, jeśli zięć mój czuje potrzebę zabezpieczenia...

— Owszem! myślałam o tem — wtrąciła sucho pani Kohn.

— I obstajesz przy swoim dzikim planie?

— Żądam, aby dzi notarjalnie było to zrobionem.

Kohn zpąsowiał. Krew uderzyła mu gwałtownie do głowy. Wiedział on, jakie wrażenie zrobi w kołach finansowych przelanie na Łęckich czterech kroć stu tysięcy hipotekowanych dla jego żony. A znał jej upór prawie w takich razach, gdy chodziło o rodzinną uczciwość. Czuł, że jej nie przekona i zdawało mu się, że mu grunt z pod nóg jego własna wyrywa żona.

Bezprzytomny biegał po pokoju i jeszcze przystanął, aby zawołać:

— Ależ ja, ja sam mogę potrzebować hipotek twoich.

— I służę ci niemi — podchwyciła pani Kohn — o ile wystarczą po zapewnieniu mej córce tego, co już dostać była powinna.

Kohn zrobił ruch desperacki.

— Ten krok może mię zachwiać! — zawołał — obracasz się przeciw mnie...

http://rcin.org.pl

Pani Kohn wstała.

— Nic mego postanowienia nie zmieni. Przecież mogę dysponować osobistym moim majątkiem?

— Zawsze, tylko nie w tej chwili...

— Mamże czekać — przerwała mu żona — aż Koroński i to...

Kohnowi brakło cierpliwości, podskoczył do Łęckiego i zawołał:

— Dziękuję ci! dziękuję! to bardzo uczciwie, bardzo!... Ależ widzę hahaha! to nie ma, jak utracjusze, przynajmniej umieją być dżentelmanami!

Obrócił się do żony i kończył:

— Rób sobie, co zechcesz. *Enfin, c'est ta fortune, bien à toi!* tylko wiedz o tem, że te parę kroć w tej chwili, to miljony, to dziesięć, sto razy tyle w obrocie bankierskim. Zięć mój mnie rujnuje, *par force*... hahaha.. *quel bonheur*, że nie mam trzeciej córki, bo gdy i jej przyszłaby fantazja wyjścia za rachunkowego obywatela... hahaha... krociami płacić za to, aby córka kiśniała na Podolu *en voila une besogne*... i jeszcze mieć kontrolora w zięciu swych osobistych wydatków.

To powiedziawszy, roześmiał się nerwowo i zniknął za portjerą, ukrywającą drzwi, prowadzące do kantoru.

Pani Kohn łzy w oczach stanęły, zbliżyła się do Witolda, trzęsącego się z rozdrażnienia i rzekła:

— Skończyło się... tak będzie dobrze.

— A jeśli rzeczywiście? — zawołał Witold.

Matka machnęła ręką.

http://rcin.org.pl

— Przecież koniec — szepnęła — musi mieć swój początek. Jeśli już tak źle... to niech...

Niedokończyła, tylko po chwili dopiero dodała:

— Dziś trzeba akt ten zrobić.

http://rcin.org.pl

V.

Zdawało się już światu finansowemu, że Kohn nadzwyczaj zgrabnym obrotem się ocalił.

W chwili największego kryzysu, który właśnie wypadał podczas bytności Łęckiego w Warszawie, Kohn wysilił się na genjalny finansowy skok i pomięszał szyki wszystkim czekającym jego zguby.

Kinsztein nawet obałamucony nie wiedział, co myśleć o świetnej i chwiejącej się firmie.

Kohn bowiem jednego dnia prawie zrobił dwa obroty pieniężne, zostające ze sobą w takiej sprzeczności, że najróżniejsze nasuwały przypuszczenia.

Równocześnie prawie, jak pani Kohn zaniepokoiła wierzycieli firmy przepisaniem czterechkroć stu tysięcy rubli na Marję Łęcką, bankier zrobił układ o budowę odnogi kolei Nadbużnej i wypłacił na stół przedsiębiorcom sześćkroć sto tysięcy rubli.

Fakt ten obałamucił wszystkie przypuszczenia.

Zaczęto powątpiewać o upadku Kohna, ba!

http://rcin.org.pl

byli i tacy, co mu wróżyli najświetniejsze jeszcze obroty.

Odnoga kolei miała być złotym interesem.

Na giełdzie poprawiła się jego pozycja, a w bankach zastanawiano się tylko nad jego głową i rzutkością.

W chwili, gdy sądzono, że dogorywa, on podpisywał kontrakt interesu, wymagającego miljonów i mogącego przynieść miljony.

Najpoważniejsi ludzie zaczynali przypuszczać, że cała historja bankructwa Kohna była bajką finansową.

Bankier sam opowiadał głośno na giełdzie, w bankach, u Landsberga i Kinszteina:

— Ha! te małe bankierki, te przebrzydłe pieski, ogłosili mnie za bankruta, aby mi utrudnić interes Nadbużnej kolei. *Dieu merci*, znają moje interesa w Petersburgu, *le ministre en a vi*..

Tak mówił Kohn, a wierzyli mu wszyscy. Bo jakże było nie wierzyć gdy nic a nic nie zdradzało braku złota ani w kantorze, ani w pałacu, ani w Rzeźbowie, ani u Korońskich.

W Rzeźbowie wykończano na gwałt pałac, jakiego jeszcze w Polsce nie widziano, w którym miała być dana feta w jesieni na imieniny pani Kohn.

W Krajkoronie restaurowano zamek Korońskich, w którym hrabia miał polować w listopadzie.

A w świecie opowiadano sobie o zbytkach, jakie Lena robiła w Ischl, o jej toaletach od Woorda, o brylantach od Briqueta.

Cała historja bankructwa Kohnów przypominała te letnie chmury z grzmotem i błyska-

http://rcin.org.pl

wicami gdzieś w dali, z których nigdy burzy nie było.

Horyzont się wypogodził i w około Kohnów dalej panowała uperfumowana atmosfera zbytku.

Sama pani Kohn zaczynała przypuszczać, że głowa jej męża jest silniejszą, niż sądziła, ze wytrzyma ona i Korońskich, skoro powstrzymała kryzis.

O jej uszy nie odbijały się już półsłówka, dające jej niedawno jeszcze tyle do myślenia, nie spostrzegała w świecie enigmatycznych uśmiechów, które błądziły po ustach kobiet, gdy wchodziła do salonu, jaśniejąca od brylantów i kamieni.

Uspokojona zupełnie, prawie postanowiła wyjechać na *saison* do Marienbadu, aby powrócić dopiero w pierwszych dniach września wprost do Rzeźbowa.

Imieniny jej wypadały piątego września i na ten dzień ogłoszoną była wielka feta na wsi u Kohnów, na ten dzień mieli zjechać Korońscy z Ostendy, Łęccy z Zyblówki, cały wielki swiat z Warszawy, ze wsi i z zagranicy.

Kohn sam czuł potrzebę wypoczynku i zamierzał opuścić interesa, aby spędzić sześć tygodni w Karlsbadzie, którego zdroje miały czarodziejską własność przywracania mu sił i zdrowia.

Oboje mieli jednego dnia opuścić miasto.

Dzień ten nadchodził i nie spostrzegli nawet, jak się znaleźli w przededniu opuszczenia Warszawy.

Około godziny trzeciej po południu bankier wracał z banku państwa.

Zagłębiony w swej karetce, zdawał się być

*

http://rcin.org.pl

oddany wytężającym myślom. Oczy jego utkwiły w końcu sznurka od ramienia furmana, służącego do skomunikowania się z nim, a myśli biegały po szerokim świecie z chyżością błyskawicy.

To się przenosił wyobraźnią do Ischl, skąd Lena pisała, że w największej żyje przyjaźni z bawiącą tamże królewiczową belgijską.

To ustawiał w salonach rzeźbowskich przepyszne majoliki i marmury, wazony i etruski, które codzień niemal z zagranicy przez Warszawę przejeżdżały.

Bo co to wyobraźnia może?

Kohn widział już zdziwione miny Kinszteina i Landsberga, gdy się znajdą w oświetlonym *al giorno* pałacu Rzeźbowskim.

Rozmawiał już ze zdumionym Oleśnickim i uśmiechał się do księcia Pilawskiego, który komplimentował z racji jego niewidzianego gustu.

— Jakże Karol będzie kontent? — myślał — jakże Kinsztein będzie zazdrościł, on, co myśli, że nie ma nic piękniejszego nad jego Wiktorówkę.

I chorobliwy uśmiech błąkał się po spieczonych wargach bankiera i żółte jego oczy błyszczały wysilonym namiętnością blaskiem.

Ale powoli twarz jego się chmurzyła, powoli oczy przybierały martwy wyraz i ogłupiały, czoło się marszczyło, usta jego się zaciskały, a ręka nerwowo szarpała pasmanterje obicia karety.

Bankierowi przesuwały się w mózgu inne odmienne znów obrazy.

To przedsiębiorca wewnętrznych urządzeń w Rzeźbowie sprowadzony z Paryża, dopominał się

http://rcin.org.pl

w kasie o dwakroć sto tysięcy franków, których Kohn właśnie w tej chwili nie miał

To Koroński żądał jeszcze dziesięciu tysięcy rubli — telegraficznie z Ostendy.

To robotnicy na linji Nadbużnej kolei podnosili bunt, bo pieniądze nie nadchodziły z Warszawy, a im wstrzymano trzech tygodniową wypłatę.

Kohn poruszał wargami i liczył..

Na pierwszego września tyle a tyle wiorst miało być rządowi oddanych, te wiorsty kosztowały tyle a tyle kroci, których on dziś nie miał, których nie wiedział, skąd weźmie.

— A ta przeklęta kolej! — zamruczał — poco ja się w nią ubrałem — ale... ha... wyratowała mnie ona... byłbym może już musiał ogłosić upadłość... może coś przyjdzie... gdyby cukier chciał iść w górę...

I wzrok jego się wytężył w kierunku jedwabnego kutasa i rozszerzyły się jego źrenice. On myślał, jakby jakim sposobem podnieść wartość cukru, choćby na tydzień, noc, dzień, na godzinę.

Jego dalsze życie, zdawałoby się, zależało od sztucznych i chwilowych giełdowych spekulacyj.

Ale głowa jego — sam z rozpaczą myślał — nie była już w stanie uformować i przeprowadzić na pewniaka genjalnego obrotu finansowego

Dawniej on tyle mógł. Nieraz myśl w nocy mu przyszła do głowy, a w ciągu dnia z powodzeniem i rezultatem ją przeprowadził.

Dziś czuł, że traci tę szybkość działania, tę

http://rcin.org.pl

wiarę w powodzenie, tę siłę, jaką daje pewność siebie.

I wyobraźnia jego, która przez chwilę oprowadzała go po zagranicznych składach cukru, która mu migotała przed oczami bibułą, zapisaną notowaniami berlińskiemi cukrowniczych giełd, przerzucała go w inne sfery.

— Gdyby Lena — szeptał tak cicho że słowa jego zagłuszał turkot mijających go na ulicy powozów — gdyby Lena chciała namówić królewiczowę na przyjazd do Rzeźbowa.

I usta jego roztwierały się zmysłowo, jak gdyby próżność zajęła w jego duszy miejsce wielkiej namiętności.

W tem ekwipaż bankiera zwolnił i obudził go z marzeń.

Dojeżdżali do pałacu, ale przed pałacem Kohnów panował zgiełk ekwipaży i dorożek, które stojąc przed bramą, utrudniały wjazd w tęże.

Kohn wyjrzał przez szybę, a w rysach jego odbiło się zrazu zdziwienie, które wnet przeszło w rodzaj zadowolenia.

Kohn wiedział, co ten zgiełk znaczy. To był dzień recepcji dziennej u jego żony.

Elegancki świat żegnał panią Kohn przed jej wyjazdem do Marienbadu i przypominał się, aby przypadkiem kogo nie zapomniała zaprosić na fety do Rzeźbowa. O tym Rzeźbowie tyle opowiadano.

Kohn uśmiechnął się ironicznie, ale błogo i wysiadł z karety, która zatrzymała się przed oszklonemi drzwiami, nad któremi widniał złoty napis: „*Banque*“.

http://rcin.org.pl

Był u siebie, w kantorze, w którym regularnie spędzał te dwie godziny, pozostające mu do objadu.

Jakby unikając widoku wszystkich kantorowiczów, zgromadzonych w salach, ominął je i bocznym korytarzem podążył do swego biórowego gabinetu.

Od niejakiegoś już czasu nie lubiał spotykać się z ciekawemi wejrzeniami swych buchalterów, kasjerów i pisarzy, którzy z fizjognomji pryncypała dowiedzieć się chcieli, czy Kohn się znów chwieje, czy znów ustala.

Te wejrzenia go bolały. Widział w nich myśli, których może i w nich nie było. Zdawało mu się nieraz, że dostrzega ironiczne uśmiechy na niejednej zwykle pokornej twarzy.

Podejrzywał nawet Wilhelma, który mu był prawą ręką i jego kreaturą, że i ten się cieszy, ilekroć razy widzi na obliczu pryncypała ślady często w ostatnich czasach przebywanych katastrof finansowych.

Zdawało mu się, że wszyscy znają tajniki jego ksiąg, że wszyscy wiedzą o wątpliwych jego interesach, że wszyscy zaglądają do jego często pustych kas, obliczają jego kieszeń.

Te twarze pochylone nad biórami, zagłębione w cyfrach jego manipulacji, zajęte i zapracowane zdawały mu się być nim tylko, jego upadkiem zajętemi.

I dnia tego ominął też ten niemiły mu widok i znalazł się w swym gabinecie, z którego kilka drzwi prowadziło do sal banku.

Wypił szklankę mineralnej wody, zawsze

http://rcin.org.pl

stojącej na stoliku przy biórze i nerwową ręką uchwycił zapieczętowane depesze, leżące na stole i czekające nań od chwili przybycia.

Dłonią drżącą rozrywał bibuły, zawierające oczekiwane wiadomości, które zwykle na nim małe robiły wrażenie.

Dostawał ich tyle, ale tyle w życiu, w każdym dniu. Lubiał je nawet, przynosiły one mu zawsze wiadomości powodzeń, świetnych interesów, miljonowych zysków.

Ale teraz ręka mu się trzęsła, gdy naruszał papierową pieczątkę z orzełkiem.

Pierwsza rozwinięta karta zawierała niebieskim ołówkiem nakreślonych słów tylko kilka, które śmiertelną bladością okryły twarz Kohna.

Położył ją na biórze i sam usiadł na fotelu przed nią.

Karta zawierała te słowa:

„Sto ośmdziesiąt tysięcy przesłać dzisiaj, inaczej stanie budowa kolei bunt robotnika. — Dedren".

— Sto ośmdziesąt tysięcy dzisiaj — szeptał machinalnie Kohn — sto ośmdziesąt tysięcy dzisiaj! dzisiaj!

Objął głowę rękami i pochylił się na poręcz. Po chwili westchnął, otrząsł się i uchwycił drugą depeszę, którą roztworzył prędzej, jakby już się jej mniej bał, jakby już nie mogła zawierać katastroficznej nowiny.

Ale i ten papier sprowadził jeszcze większą bladość na twarz Kohna

— Wali się wszystko, *ca croule* — szepnął i odczytał głośno depeszę: „Cukier spada *baissa* dalsza przewidziana, zapasy puścić! *Salomon*."

http://rcin.org.pl

Odczytywał ją po kilka razy, machinalnie, jak gdyby z trudnością mu przychodziło zebranie myśli.

Wargi jego drgały i mruczał:

— Cukier spada, a ja grałem na *haussę*... tracę nos... zapasy puścić! a ja porobiłem wczoraj, dziś się trzymałem... to straty, to jest straty od wczoraj do dziś..

Ale trudno mu już przychodziło liczenie, bo długo pomrukiwał i drgał wargami, aż wreszcie bąknął:

— Trzydzieści i siedm tysięcy, trzydzieści siedm tysięcy...

Wstał i przeszedł się po pokoju.

No! bankierzy tracą.. no! ale mają i zyski, gdzież zyski moje?

Krew uderzała mu do głowy, bo policzki jego nabrzmiewały, okrywając się purpurą.

Ale na stole jeszcze leżały dwie nieotwarte depesze, na które zerkał Kohn z przestrachem.

— Chyba już w tych nic nie ma — mruknął i uchwycił jednę, rozerwał ją gwałtownie i połknął oczami.

— Hahaha! — zaśmiał się sparaliżowanie — i Koroński jeszcze każe mi płacić procenta świętojańskie z Krajkorony, hahaha! — „proszę mnie zastąpić“ hahaha *il est bon le charmant Charles.*

I dalej chodził po pokoju i dalej nerwowo, sucho, nieprzyjemnie śmiał się z cicha.

A robił się, jak szkarłat, czerwony, pąsowiał aż do białek ócz, po uszy.

Wypił duszkiem szklankę wody i uchwycił ostatni telegram.

Ten pochodził z Rzeźbowa od budowniczego

http://rcin.org.pl

i zawierał wiadomość, że niebieska marmurowa sala w tej chwili została ukończoną. Po bankiera twarzy, wykrzywionej bolem i gorączką, przebiegł krótki, jak iskra elektryczna, uśmiech zadowolenia.

Wszystkie cztery karty papieru złożył razem i przyłożył przyciskiem z bronzu, przedstawiającym nagą, leżącą kobietę.

Z pół godziny jeszcze mierzył wszerz i wzdłuż swój gabinet, a wreszcie ochłonąwszy nieco, uchylił jedne z drzwi i zawołał:

— Pan Wilhelm!

Poczem znów chodził, póki nie wsunęła się znana nam postać sprytnego kantorowicza. Przynosił on z sobą dwie księgi in folio i jeszcze kilka liniowanych arkuszy papieru.

Ukłonił się głęboko i ze zwykłym uśmiechem na ustach stanął przy biurze przed bankierem. Ten wtedy dopiero usiadł na fotelu i wskazał krzesło Wilhelmowi.

— Czy co nowego? — zapytał.

— Dużo!

— Czy ka a przynajmniej wystarczyła?

— Ledwie.

Kohn głęboko odetchnął i uchwyciwszy ze stołu cztery depesze, rozdzielił je, dwie z nich schował do kieszeni, a dwie podał Wilhelmowi, mówiąc:

— Oto!

Kantorowicz przebiegł je oczami i podobnież, jak Kohn przedtem, pobladł.

— Wszystko nam się z pod nóg usuwa — zawołał — na giełdzie spodziewają się *haussy*

http://rcin.org.pl

cukru. Rachowałem że sprzedawszy zapasy cukru, zdołamy uskutecznić wypłaty kolejowe.

— I ja tak myślałem.

Obaj zamyślili się. Bankier schował twarz w dłonie, a Wilhelm zapuścił błędny wzrok w okno, ale na twarzy jego malowała się wytężająca praca giętkiego i ruchliwego mózgu.

Po dość długiej chwili zapytał Kohn:

— Co będzie?

Wilhelm milczał.

Bankier westchnął, zanucił przez zęby jakąś smętna nutę i znów się zadumał.

Milczenie niczem nieprzerwane trwało długo, a obudził ich obu dopiero turkot jednego z odjeżdżających z przed bramy powozów.

— Ale co będzie? — zawołał bankier i spojrzał na Wilhelma, którego twarz zdradzała myśli kombinacyjne.

— Co dalej będzie? — powtórzył jeszcze raz i uderzył ręką w swoje tłuste kolano.

Wilhelm się ocknął.

— Ha! — szepnął — tyle przebywszy, dziś niepodobna dać się zjeść, ani upaść. Ta kolej nas dobije... jak nas pozornie ocaliła. Pan pryncypał grał dzisiaj na *hausse?*

— Tak!

— To może i lepiej. Jeszcze są pewne w kasach fundusze, którymi możemy zamanewrować. Ja jutro rano puszczę stotysięcy na zakup akcyj cukrowni kromieryskiej...

Wilhelm urwał i zamyślił się, a Kohn bystry wzrok w niego wlepiając, zawołał tylko:

— A dalej?

Wilhelm też ciągnął, równocześnie myśląc:

http://rcin.org.pl

— To wywoła chwilową zwyżkę...

— To gra na kilka dni... ryzykowna... a tu telegrafuje, że roboty staną, ą gdy roboty staną, pęknie bańka mydlana — przerwał Kohn.

— Tak — podchwycił Wilhelm — ale ja jutro rano wywołam *haussę*, a popołudniu sprzedamy zapasy i akcje... Nie uwierzy pan pryncypał, jak te małe bankierki, jak Kinsztein nawet i inni, wierzą w nasz węch... jeszcze dużo możemy ..

Kohn się uśmiechnął w sposób wymuszony i bąknął:

— Gra na awanturę... rób, bo ja już głowy, ani sprytu nie mam. Kolej może nas zgubić, może... wyratować... Szalone straty szalenie obniżają zyski. Kto wie, czy cukier dalej spadać nie będzie, w takim razie... ale czem dalej będziemy budować kolej? Stoośmdziesiąt tysięcy dziś... dobrze... jutro? dobrze, ale pojutrze?

Spojrzał na Wilhelma, który spuścił wzrok i milczał. I on też nie wiedział, co będzie dalej, pojutrze, które niezawodnie nadejść musiało. O niem nawet myśleć nie chciał, aby nie wpaść w zamęt umysłowy, w jakim znajdowała się głowa pryncypała.

Kohn tymczasem ochłaniał, widocznie przyzwyczaił się on już ulegać we wszystkiem Wilhelmowi, który właściwie interesa firmy prowadził od dnia pierwszej spadającej na nią katastrofy, jaką było małżeństwo Leny.

Po długiem milczeniu bankier zaczął:

— Ja jutro wyjadę, potrzebuję odpoczynku,. kuracji... Zostawię ci wszystko, moje mienie i innych... przyszłość rodziny, mój honor...

http://rcin.org.pl

Wilhelm lekko pobladł, a bankier urwał, aby nagle się otrząsnąć i zacząć, z wyrazem przestrachu:

— Ale...

Wtem drzwi się uchyliły i lokaj stanął w nich, mówiąc:

— Pan minister komunikacji jest u pani na górze i pragnie z jaśnie panem się widzieć.

Kohn się zerwał, a Wilhelm stając, zapytał:

— Pan pryncypał jeszcze chciał coś powiedzieć?

Bankier pociągnął ręką po czole, bo już zapomniał, co miał na myśli. Nagle zawołał:

— Ale... wszak w obrotach akcjami cukrowniczemi i zapasami cukru związani jesteśmy z księciem Oleśnickim! Jeśli my jutro rano wywołamy zwyżkę, jeśli po południu wypuścimy akcje i zapasy to wypuścić musimy i cały interes księcia.

— W takim razie — podchwycił Wilhelm — obrót się zdubeltuje, obudzi podejrzenie i.. obniżając zwyżkę... chybi!

— A cóż robić?

— Panie pryncypale! — zawołał cicho Wilhelm, uśmiechając się z bolesną ironją — tonący tonie gdy jeszcze bierze się do ratunku drugiego. Książę dużo przy nas zarobił, może i stracić nieco więcej od nas.

— Ale... — przerwał bankier.

— Różnica — podchwycił Wilhelm — między jutro. a pojutrze nie może być wielką.

— Na rynku warszawskim, gdy odkryją nasz podstęp, będzie ogromna.

— To zatelegrafuję do księcia, co robić, bo

http://rcin.org.pl

i tak pan pryncypał by się nie odważył na wypuszczenie...

— Owszem — podchwycił bankier — w obec telegramu Salomona...

— Panie pryncypale — zawołał widocznie rozdrażniony Wilhelm.

Kohn zrozumiał myśl swego powiernika, bo machnął ręką, lekko uścisnął dłoń jego i wybiegł z gabinetu, spiesząc na górę, gdzie go czekał minister.

Idąc po schodach, szeptał.

Oleśnicki straci dwakroć, jeśli nie więcej... — ale... może tym razem zechce zatrzymać... wprawdzie on mi dał *carte blanche*...

Przystanął na schodach i mruczał.

— Ale jeślibym ratował księcia?.. to ja mogę stracić o pięćdziesiąt tysięcy więcej...

Ruszył z miejsca i pospiesznym krokiem wszedł na górę.

— Kto jeszcze jest u pani? — zapytał lokaja.

— Pan minister i pan baron Landsberg.

Kohn się uśmiechnął. Jakiś sprytny i filuterny wyraz pobłądził chwilę po jego wargach i wszedł do salonu, mówiąc:

— *La grande nouvelle* panowie, cukier w górę, akcje kromieryskie o dwadzieścia siedm i pół.

— Jakto? — zawołał Landsberg, zrywając się i podbiegając do Kohna.

Bankier natychmiast spoważniał i gładząc faworyty niedbale dorzucił:

— W tej chwili ajenci zagraniczni zakupili ich zapasy... *l'affaire vient de percer, la hausse est pour demain.*

http://rcin.org.pl

I podszedł do ministra, który rozmawiał z jego żoną. A baron czemprędzej się pożegnał jakby zelektryzowany tą wiadomością Kohna i wybiegł.

Bankier zaś przysunął się do ministra, który zaczął.

— Chciałem z panem pomówić o interesie, który może być bardzo dobrym.

— Miewam tylko takie — podchwycił Kohn, gładząc faworyty i z taką miną, że nikt wątpić ani chwili nie mógł o szczerości jego słów.

Pan minister zaś uśmiechnąwszy się dalej, ciągnął z widocznym pospiechem:

— Rząd, jak panu wiadomo, zatwierdził budowę kolei, łączącej nasze dwie strategiczne linje.

— Aha...

— Interes ten panu szczególnieby odpowiadał.

— Dlaczego?

— Bo pan budujesz odnogę Nadbużną.

— A prawda!

— Więc też panu najprzód go przedstawiam.

— *Ma reconnaissance...*

— *Allons donc* — przerwał minister — ja bawię w Warszawie do jutra wieczora. Pomyśl pan nad tem. Jeślibyś się decydował... *je serai charmé de vous faciliter la chose.*

Kohn się skłonił lekko i uścisnął dłoń ministra, wychylającą się do niego.

Pani Kohn oddaliła się do przyległego gabinetu, a obaj mężczyźni dość długo jeszcze ze sobą rozmawiali.

Wreszcie minister wstał i podążył do drugiego salonu, aby się pożegnać z panią Kohn.

http://rcin.org.pl

— Mąż pani — zagadnął ją — jest dziś roztargniony. Nie mogłem mu wytłumaczyć *l'excellente affaire.*

Pani Kohn się uśmiechnęła, a minister wyszedł przeprowadzony przez bankiera aż do schodów.

Tu zatrzymał się Kohn, spojrzał na zegarek, którego igły wskazywały piątą.

— Jeszcze godzina - szepnął i podążył do swego gabinetu. Tu wydobył z szuflady aparat telefonowy i zaszeptał:

— Wilhelm!

Przytłumiony głos mu wkrótce odpowiedział. Kohn też dalej do tuby mówił:

— Jeśli jesteś zdecydowany na zakup akcyj kromieryskich, to kup dzisiaj, bo jutro rano, zdaje mi się, chwilowo, pójdą w górę.

Nadstawił ucha i słuchał odpowiedzi Wilhelma, poczem znów w rurę pytał:

— Czy nie wiesz, czy Landesbergi mają dużo kromieryskich?

Kantorowicz coś odpowiedział, a bankiera usta taki uśmiech okrasił, jaki już dawno na jego twarzy nie gościł.

Zamknąwszy biuro, krytemi schodami zeszedł do swego dolnego gabinetu, w którym dopiero co rozmawiał z Wilhelmem.

W kantorach było już pusto, urzędnicy się rozeszli, a w salach, od których drzwi stały otworem, panowała grobowa cisza.

Do sklepionych sal światło przytłumione wdzierało się z ulic o wysokich domach przez żelazne kraty okien i ich matowe szyby.

Kohn rzucił się na fotel i zadumał się tak,

http://rcin.org.pl

iż w pustych salach oddech jego nawet nie przygłuszał tiktaku zegara poruszającego się w czwartej sali.

Nagle zerwał się i podążył do wnętrza właściwych biur i kas.

Stanął pod żelaznemi drzwiami i wydobył z kieszeni mały stalowy kluczyk, którym lekko otworzył ciężkie podwoje.

Znajdował się w kasach banku swego. Żelazne szafy stały dokoła przy ścianach sklepionej sali. Słońce oświetlało ich lśniące powierzchnie swym złotawym blaskiem i złociło bronzy zamków.

Kohn stanął w pośrodku tych żelaznych skrzyń i zamyślił się. Jego policzki pokryły się szkarłatem, a żółte oczy błyszczały, jak nigdy. Wargi mu drżały i czuł, że się pod nim trzęsą jego nogi, jak gdyby się bał tej pustej i ponurej sali.

Opuścił się na zwykły gięty stołek, stojący opodal i położył głowę na ręce, opartej na kolanie.

W tej pozycji siedział długo i ocucił się dopiero, gdy słońce oświetliło go strumieniem złotawego światła.

Zerwał się pospiesznie, wyciągnął z kieszeni pęk kluczyków stalowych, płaskich, powycinanych. Z nich wybrawszy jeden, zmierzył ku dużej żelaznej szafie, stojącej w rogu sali.

Drzwi jej za przyciśnięciem kluczyka się rozwarły i Kohn drżącą ręką sięgnął do jej wnętrza.

Po chwili wydobył z niej paczkę papierów, starannie owiniętą i opakowaną.

http://rcin.org.pl

Podbiegł z nią do okna i wyczytał na jej wierzchu napis, jego własną ręką położony: „Depozyt pani Samuelowej Kohn"

— Tak... to to — szepnął — to...

Zamyślił się i cicho dodał:

— Moja dobra matka... gdyby wiedziała, samaby mi oddała... chowa, aby wnuki po jej śmierci znalazły na otarcie łez... prawnuki... Łęcka..

Urwał i pospieszył nazad do kasy, którą lekko zatrzasnął.

Szybko wybiegł z tej sali, nie próbując na wet, czy ją dobrze za sobą zamyka, biegł, jakby go kto gonił, przez cały szereg komnat, napełnionych biurami, nie zatrzymał się nawet w swym kantorze i odetchnął dopiero, gdy się znalazł na górze w gabinecie.

Paczkę wrzucił w szufladę biura, a zdenerwowany, rozstrojony, na pół przytomny, upadł całem ciałem na sofę.

Objął głowę w obie ręce i głośno wzdychał.

Wtem Pomballe uchylił drzwi i zawołał:

— *Mais Monsieur est de retard, il est six et cinqne minutes.*

Bankier się zerwał, jak oparzony i czemprędzej przeszedł do swego gabinetu toaletowego, gdzie zastał lokaja, stojącego z frakiem w ręku.

Kohn prędko się przebrał, oblał twarz wodą kolońską i pospieszył do salonów, rzęsiście oświetlonych, w których kilka osób otaczało jego żonę.

Po objedzie wyglądał znacznie uspokojony, choć jeszcze wypieki ceglaste nie opuszczały jego oblicza.

http://rcin.org.pl

Wychyliwszy duszkiem filiżankę czarnej kawy i kieliszek *Curacao*, zagadnął Bywalskiego, siedzącego przy nim.

— Cóż w mieście mówią?

— O czem?

— O mnie!

Bywalski spuścił monokl i zaczął przeczyszczać jego szkło, cedząc:

— Mówią, że jeśli nie zbankrutujesz, to będziesz najsilniejszą i najszczęśliwszą głową finansową tych czasów...

Kohn pobladł.

— To jeszcze o bankructwie mówią? — wyszeptał z wyraźnem niezadowoleniem.

— Mówią i nie mówią! — odparł Bywalski.

Nastąpiło milczenie, które znów przerwał Kohn.

— A o Lenie nic nie słyszałeś?

— Owszem! Paryska wracała z Ischl...

— I cóż?

— Opowiadała — ciągnął dalej Bywalski, ciągle czyszcząc szkło monokla — że hrabina...

— Co hrabina?

— *Fait la pluie et le beau temps á Ischl...* Paryska nawet jest *comment dire?*

— Co? co? — podchwycił Kohn, którego oczy pałały niezrozumiałą ciekawością. Bywalski też, jak zwykle w takich razach, coraz wolniej mówił.

— Obrażoną, bardzo... na panią Korońską. Wystaw sobie, ignorowali ją prawie *ne vivant qu'avec la reine Charlotte*.

— Jakto?

http://rcin.org.pl

— No jak! obruszył się Bywalski — twój zięć teraz zna tylko *les têtes couronnées*.

Kohn zaśmiał się głośno i radośnie.

— Ten Karol! ten Karol! — mruczał — *il a du tupet*.

— I jaki! — zaszeptał Kohn, puszczając z zadowoleniem kłąb dymu z cygara — ale ten *tupet* — dodał — kosztuje, mój drogi, *les yeux de la tête*.

— Właśnie wczoraj — podchwycił Bywalski — właśnie wczoraj u Kinsztejnów na obiedzie rozmawiali, co cię może Koroński kosztować, byli i tacy, którzy twierdzili, że on tylko, a nie kto, inny był powodem zachwiania się twego.. podczas kursów.

— Więc jeszcze ciągle o mnie mówią? — wtrącił bankier, a rozpromieniona twarz jego lekko pobladła.

Bywalski się nieznacznie zmięszał i zaraz odparł.

— No! naturalnie. Wszak ciągle dajecie o sobie powód do mówienia... Rzeźbów.. Korońscy... Krajkorona *diable! ca donne á parler!*

Kohna twarz znów okryła się wyrazem błogiego zadowolenia. Łyknął kieliszek likieru żółtego, jak złoto i sięgając ręką do bocznej kieszeni od fraka, mówił.

— Wiesz? niebieski salon, dziś wykończyli. Tu podał Bywalskiemu dwie depesze i dalej ciągnął:

— A Koroński telegrafuje. Czy ty nigdy niewidziałeś tej królowej Charlotty?

Bywalski z uwagą odczytał oba telegramy, uśmiechnął się niedostrzegalnie dla każdego, co

http://rcin.org.pl

nie odbył specjalnych studjów nad jego fizjognomją i po chwili dopiero zagadnął.

— Pytałeś o coś?

— O tę królowę Charlottę.

— Cóż chcesz wiedzieć?

— Znasz ją?

— Nie, ale dużo o niej słyszałem.

— Cóż myślisz — zaczął po pauzie bankier z pewnem wahaniem w głosie i bacznie spoglądając w oczy przyjacielowi — czy królowa by przyjechała na 5-go września do Rzeźbowa?

Bywalski wyłupił ogromne oczy na Kohna i chcąc ukryć filuterny wyraz, który zawitał na jego twarzy, puścił kolosalny kłąb dymu, okrywający głowę jego jak chmurą i wycedził.

— Królowa Charlotta w Rzeźbowie... hm... hm... hm?

Krząkał i nic nie odpowiadał. Kohn też czekał, co widząc Bywalski, kończył:

— Jeśli, jak mówią, jest tak dobrze z Leną...

I Bywalski, jakby chciał się uwolnić od dalszych pytań bankiera, wstał pod pozorem przypatrzenia się cudownemu pejzażowi Angeliki Kaufmann, stojącemu na kominku.

Poczem nieznacznie przesunął się do drugiego salonu, gdzie w około pani Kohn wesoła toczyła się rozmowa.

Bankier został sam. Powoli rysy jego traciły rozpromieniony wyraz i powracały do normalnego stanu. Znać pił dużo przy obiedzie, bo zaczerwienione jego policzki nabrzmiewały, a usta wykrzywiały się wciąż do tłumionego ziewania.

Wreszcie i on ruszył się z miejsca i zajrza-

http://rcin.org.pl

wszy tylko do przyległego salonu przez rozwarte drzwi, podążył sam przez szereg pokoi do zimowego ogrodu.

Tutaj stanął nad tryskającą fontaną, której pachnąca woda go orzeźwiała.

Podstawił pod promień wody, wypuszczanej z nadętych ust marmurowego amorka, swą batystową chustkę i pociągnął nią kilka razy po skroniach.

— Dziwna rzecz... — mruczał — jak teraz... od niejakiego już czasu chwilami mąci mi się w głowie... Czy piłem za dużo? ale nie...

Usiadł na krześle otoczonem palmami i tropikalnemi roślinami i zdawał się wsłuchiwać w melodyjny szum tryskającej cienkimi, jak nitki, promieniami wody.

Ale oblicze jego zmieniało się co sekunda niemal. Oczy traciły swój błogi spokój, a dwa głębokie zmarszczki wyryły się po obu stronach zaciśniętych i wydłużonych ust, jakby je długie cierpienie powoli, nie od dziś wyżłabiało.

Zamyślił się bezwiednie i przeciw własnej woli o niemiłych mu rzeczach, bo co jakiś czas wzdychał głęboko i głośno i zdawał się chcieć wyrwać z błędnego koła wrażeń swoją wyobraźnię.

Ale mu to się nie udawało, bo wkrótce znów się zasępiał i kamieniał niemal na fotelu wśród kwiatów i koronkowych liści.

I wpatrywał się w twarz uśmiechniętego amorka, któremu Brodzki nadał dziwnie dziecinny a zmysłowy wyraz.

Ta twarz irytowała bankiera, bo z niecier-

http://rcin.org.pl

pliwością odwracał od niej oczy, aby za chwilę znów bezwiednie na niej spocząć.

Ale amorek spełnił swoje zadanie, narzucone mu może przez mistrza.

Bankier nagle zamruczał:

— Brodzkiemu się nie udała ta rzeźba! Czego on wygląda taki zadowolony i rozbawiony? wydyma tę wodę, jakby w tem było coś dziwnie rozkosznego.

Wstał i powrócił do towarzystwa, rozrzuconego po salonach, między którem lokaj obnosił herbatę.

Goście jego potworzyli kółka, po dwie, po trzy osoby razem.

Byli to przeważnie przyjaciele domu, którzy przybyli pożegnać odjeżdżającą nazajutrz panią Kohn do wód.

Między nimi znalazł się Kinsztein, który nie będąc na obiedzie, przybył na herbatę.

Ten, skoro tylko zobaczył bankiera, podbiegł do niego.

— Powiedz mi — zagadnął — co widzisz za interes w nabywaniu kromieryskich?

— A co?

— W tej chwili, na wychodnem z domu, doniósł mi mój *homme d'affaire*, że Wilhelm poszukuje ich za...

Niedokończył, bo Kohn przerwał, gładząc faworyty.

— *Mais c'est une manière de placer son argent...* przecież cukier musi iść w górę.

— Ostatnie notowania...

— *Ca changera!*

— Chyba, że grasz na... — zagadnął Kin-

http://rcin.org.pl

sztein z sprytnym uśmiechem na swej semickiej twarzy, ale i tym razem Kohn mu przerwał, rozumiejąc, co chciał powiedzieć.

— *Pas dutout*... ja wierzę w *haussę*... a miałem dziś depeszę z Berlina... ale *à propos* był tu dzisiaj minister i proponuje *comme une affaire d'or*, jakąś zatwierdzoną strategiczną...

— Żmerynka...?

— *C'est ca!*

— I myślisz?

— Myślę — odparł bankier — miałem jutro rano jechać do Karlsbadu, ale zostaję jeszcze dwadzieścia cztery godzin. Kto wie *ca peut etre une bonne affaire.*

Kinsztein spojrzał bystro w oczy Kohnowi, ten człowiek chwilami obałamucał jego zupełnie Zdawało mu się, że zna interesa firmy Kohn, znał je nawet, ale, ile razy mówił z samym bankierem, którego także oddawna znał, nabierał przekonania, że ich nic a nic nie zna.

Oddalił się, mrucząc wargami.

— Tonie... albo jestem głupi.

Usiadł na kanapie i długo przypatrywał się Kohnowi, rozmawiającemu z konsulem austrjackim, aby módz wywnioskować, czy i tej firmy w Warszawie nie przeżyje. Znać do żadnego nie doszedł wyniku, bo spoważniał i zamyślił się nad interesem tej kolei, o której był słyszał.

Gdyby Kohn — dumał w cichości swej duszy — zdołał wystawić odnogę kolei Nadbużnej i wziął tę jeszcze, gdyby wytrzymał dalej, jak dotąd, to kto wie, czy.....

Nie dokończył, aż po dobrej minucie roz-

http://rcin.org.pl

wagi, wstając z kanapki i machając ręką, myślał:

— Nie! nie! a Koroński! a Rzeźbów!

Złożył swoje usta do uśmiechu i poszedł się pożegnać z Kohnami

Za nim wszyscy goście zaczęli zabierać się do odejścia.

Pani Kohn żegnała ich mile i uprzejmie. Powtarzano na wszystkie strony:

— Do widzenia! do widzenia!

— *Au revoir a Rzeźbów!* — dodawali naprzemian to bankier, to żona jego.

Gdy już nikogo niebyło w salonach. Kohn zbliżył się do żony i zagadnął.

— Więc *chèrie*, jak umówione, tak stoi. Wyjeżdżasz jutro i nie wracasz, aż na kilka dni przed piątym *septembra* wprost do Rzeźbowa.

— Jeśli żadnej nie będzie w twych projektach zmiany, jeśli... ta feta przyjdzie do skutku.

— Dlaczegożby przyjść nie miała? — fuknął Kohn, którego zachowanie się bierne jego żony oddawna wysoce drażniło.

— Może Rzeźbów nie będzie wykończony? — wtrąciła pani Kohn.

— Musi być wykończony! — zawołał bankier i dalej mówił — zapewne zjedziesz się w Berlinie lub w Wiedniu z Korońskimi, bo i oni w tym czasie powracać będą do kraju.

— A ty jutro nie wyjeżdżasz?

— Nie! ja jeszcze zostanę przez jutrzejszy dzień. Jeśli interes tej kolei, który minister proponuje, pokaże się...

— Zmiłuj się! podchwyciła żona, na której

http://rcin.org.pl

twarzy zamalowało się przerażenie — nie możecie podołać jednej, a myślisz o drugiej.

Kohn spuścił oczy i bawiąc się wachlarzem żony, który się znalazł w jego rękach, odparł.

— Widzisz! w interesach bankowych to są czasem takie konieczności.

— Pani Kohn wzruszyła ramionami.

— Chcesz nadzwyczajnemi entrepryzami za mydlić oczy światu... — ale nie dokończyła, bo Kohn spasowiał i wstał, mówiąc.

— Zrobię, jak uznam za stosowne. *Tu n'y risques rien*... Łęcki jest bezpieczny — dodał z ironią.

Kobiecie zwilżyły się oczy. a bankier wyszedł, obiecując ją jutro odprowadzić na kolej.

Pani Kohn została na miejscu. W oświetlonym salonie długo jeszcze myślała nad jej uleciałem szczęściem domowem, nad tą zmianą człowieka, który był przez lat tyle najlepszym mężem, najuczciwszym ojcem i bankierem.

Sięgała myślą w przeszłość szukając przyczyn zmiany, szukajac jej daty. Posępniała coraz bardziej, bo wtedy stawał jej w oczach Korońki, wyzywający, cynicznie uśmiechnięty. I przypominała sobie wszystkie upokorzenia, jakich z powodu niego doznała, tyle cierpień i obaw.

Długo jeszcze dumała, oczy jej zachodziły łzami, a usta drgały szeptem.

— Ah! ta Lena! ta Lena!... bo gdyby go kochała..

Tymczasem bankier, pochodziwszy chwilę w swym gabinecie, wyszedł z niego drzwiami, prowadzącemi do pokojów służby i innych ubikacyj gmachu.

Przeszedł przez długi korytarz, łączący fron-

http://rcin.org.pl

towy pałac z tylnemi oficynami i omijając różne drzwi, zatrzymał się przed jednemi z nich; do tych zapukał.

— Proszę wejść! — zawołał z wewnątrz mieszkania znany nam głos Wilhelma.

Bankier wszedł do pokoju, w którym na łóżku spoczywał już jego powiernik.

Wilhelm zerwał się na posłaniu i przy bladem świetle świecy starał się objąć swym wzrokiem twarz Kohna.

Ta wizyta niezwykła przestraszyła go i sądził, że jakaś katastrofa sprowadza do niego pryncypała.

— Co? co? — pytał przerażony.

— Nic! nic — odparł Kohn, siadając na stołku przy łóżku Wilhelma — chciałem z tobą pomówić o jednym interesie, który dziś się otworzył. Ale! jakże z Kromiery...

— Kupione już! — podchwycił Wilhelm — ten szwindel nam się uda.

Bankier się uśmiechnął i zaczął Wilhelmowi przedstawiać interes strategicznej linji, który mu proponował minister.

Wilhelm słuchał Kohna uważnie, a gdy tenże skończył, po namyśle zaczął:

— Tak... być może, ale w naszych warunkach, gdyby i ten interes zrobiony nie przywrócił nam w pełni dawnego kredytu i zaufania, to w takim razie przyspieszamy bankructwo...

Kohn pobielał i zapytał:

— Czyż to jeszcze możliwe?

Wilhelm uśmiechnął się.

— Pan pryncypał — odparł — dziwnie od

http://rcin.org.pl

pewnego czasu nie trzeźwą głową obejmuje interesa firmy.

— A! bo ja tak nieprzyzwyczajony! — westchnął Kohn z takim wyrazem na obliczu, iż Wilhelm zpoważniał, jak głaz.

Po długiem milczeniu, Wilhelm zaczął:

— Interes taki mógłby być naszem Waterloo i tak już gramy, jak szulerzy.

I znów nastąpiło głuche milczenie, które przerwał Kohn, wstając i składając na stole przy łóżku paczkę papierów.

— Zostawiam tu — mówił cichym i drżącym głosem — dwakroć sto tysięcy w listach, zmienisz je jutro ..

Oblicze Wilhelma rozpromieniło się na chwilę, ale dziwnym wyrazem Kohn dalej mówił:

— Sto tysięcy mi oddasz, a sto... zatrzymasz od wypadku... takie wydatki. Ja jutro wyjeżdżam.

— Nie mógłby pan — czemprędzej zawołał Wilhelm — zostawić całych dwakroć, toby...

Kohn przerwał opryskliwie.

— Przecież ja bez grosza zostać nie mogę.

Pomyślał chwilę i dalej mówił jeszcze bardziej drżącym głosem:

— A z tych stu, które masz mnie wrócić, to zatrzymasz pięć tysięcy do dyspozycji administracji Krajkorony, a pięć przekażesz telegraficznie hrabiemu w Ischl.

I nie patrząc na Wilhelma, jakby mu wstyd było spotkać się z jego bystrem spojrzeniem, opuścił pokój.

A Wilhelm długo jeszcze leżał wpatrzony wytrzeszczonemi oczyma w biały sufit.

http://rcin.org.pl

— Tu się wali — szeptał — tu kasy zamykamy wcześniej z powodu braku gotówki, tu tracimy tysiące, aby jej dostać, tu brak... brak! a on potrzebuje stu tysięcy do Karlsbadu, on jeszcze pcha w...

Nie dokończył z rozdrażnienia, tylko zgasił świecę i przewrócił się na drugi bok. Ale nie spał, bo ciągle coś wyraźnie szeptał i rzucał się na łóżku, jakby w gorączce.

— Ja tu nic nie zrobię! — mruczał — po co ja się męczę, po co... ale skąd te dwakroć?...

http://rcin.org.pl

VI.

Dzień niecierpliwie przez Kohna oczekiwany nadszedł wreszcie.

A był to dzień piątego września.

Słońce jeszcze gorące wzniosło się na przeczystem niebie i oświetliło dopiero co wykończony, jak z pudełka wyjęty i wycackany pałac Rzeźbowski.

Była to olbrzymia w swoim rodzaju budowla, przerobiona ze starego polskiego pałacu, z którego jednak nic a nic nie pozostało.

Gmach ten nie miał stylu, jak wszystko, co w dzisiejszych czasach wznoszą, a był pełnym pretensji i niespokoju, jakie wytwarza mięszanina wszystkich, przez tyle wieków stworzonych stylów.

Ten piętrowy pałac, przygnieciony za wysokim francuskim dachem, miał dwa dwupiętrowe pawilony i niezliczoną ilość fasad, załamków, teras i balkonów, które w dziwny sposób niepokoiły oko.

A ciężkiemi były ozdoby architektoniczne, pozasadzane gipsaturami gzymsy, przykryte freskami ściany i mury.

http://rcin.org.pl

Bo Kohn ile razy oglądał plan tej rezydencji, to dodawał w niej coś, byle wszystkiego tego, co kosztuje, co bogate, co się w oczy rzuca, było jak najwięcej.

Nigdy mu nie było dosyć ani gzymsów, ani okien, ani balkonów i ciosowych teras, ani galeryjek i wieżyczek.

Z tej szkatuły ciężkiej, wychodziła i strzelała ku niebu niesmaczna wieżyca, nie odpowiadająca budowli.

Ale Kohn chciał, by z dala, z bardzo dala widać było jego państwa koronę.

Gmach ten zdawał się być tak ciężkim, iż przygniatał wielkie i wspaniałe podwórze, iż mu ciasno było w stumorgowym parku, iż karłowaciały przy nim pyszne świerki i lipy, sadzone jak zawsze i wszędzie, „ręką Sobieskiego.“

Całość ta o pysznych szczegółach robiła wrażenie zabawki dziecinnej, przedstawiającej wiejską rezydencję z tektury, którą ustawiono na zamałym stoliku.

Wieża, odbijająca się w sadzawce, która podpływała pod nią, zdawała się mieć za mało miejsca w jej lustrze.

Niezaprzeczenie Rzeźbów olśniewał w pierwszej chwili oko, niemogące się natychmiast połapać w chaosie, stylu i harmonji, jaki gmach ten, raczej miejski, niż wiejski, wokoło siebie wytwarzał.

Rzeźbów roił się od ludzi od rana dnia tego, bo Kohn chciał, by dzień ten był pamiętnym.

W ogrodzie przygotowywano iluminację i

http://rcin.org.pl

różne figle dla mającej się odbyć uroczystości ludowej.

W pałacu roiło się od gości, którzy z różnych stron Polski przybyli na to niewidziane w kronikach zbytku na wsi widowisko.

Wszystkie pokoje były pełne eleganckich męskich i kobiecych postaci, wśród których uwijała się nieprzeliczona zgraja lokai w pończochach, jakby wyjętych z Versaillu, lub Louvru z czasów Ludwika XIV.

Zbytek apartamentów, nagromadzonych dzieł sztuki, złota i jedwabiów, olśniewał i oszołamiał.

Nie można się było połapać w amfiladach salonów, kapiących od złota, przepełnionych bronzami i porcelanami, kryształami i marmurem.

A ciekawi goście latali z pokoju do pokoju, krytykowali gust Kohna nie mogąc nic zarzucić jego złotu.

Według programu, którego ściśle Kohn polecił się trzymać, miało się odbyć pierwsze śniadanie o godzinie dziesiątej rano w wielkiej sali jadalnej.

Wszyscy na czas znaleźli się w wielkim salonie, nawet pani Paryska, która miała zwyczaj wstawać o jedenastej, zbiegła na dół, aby nic nie opuścić z fety, zapowiedzianej od tak dawna.

Po śniadaniu miała się odbyć msza, celebrowana przez miejscowego kanonika w pałacowej kaplicy, a po niej poświęcenie gmachu i zwidzenie go dokładne przy tej uroczystości.

Kohn bowiem długo myślał, jakby to wszystko wszystkim pokazać i byłby z tej trudności

http://rcin.org.pl

nie wybrnął, nie chcąc być pokazującym parweniuszem, gdyby nie Karol.

Koroński miał genjalną myśl dopięcia celu za pomocą uroczystości poświęcenia...

— To będzie bardzo dobrze — powtarzał Kohn — to będzie tak religijne i pańskie i zobaczą wszyscy...

To też po mszy, która się z uderzeniem godziny dwunastej skończyła, kanonik uchwycił kropidło i ruszył ku pokojom.

Za nim postępował Kohn z Leną i tłum gości wesołych, hałaśliwych, nie mogących wytrzymać ani chwili bez śmiechu i szeptów.

Ksiądz długie w każdej komnacie odmawiał znać modlitwy, bo wszyscy mieli czas zajrzyć w każdy zakątek i szczegółowo zbadać każdy przedmiot.

Badano bronzy, pukano w srebra, macano obrazy i lońskie jedwabie.

Zdawałoby się, że to oglądanie pałacu, wystawionego na licytację, a nie jego poświęcenie.

A ciągle się zwracano to do Kohna, to do żony jego, to do Korońskiego, to do Witolda o objaśnienia, o szczegóły.

Kohn i Karol naprzemian objaśniali gości o pochodzeniu i rzadkości dzieł sztuki.

Wtórowała im Lena, a Witold tylko ruszał ramionami. On się na tem nie znał, jego to nawet, zdawało się mało interesować, prawie nic.

A pani Łęcka wyglądała raczej zasmuconą i przerażoną tą hałaśliwą i wspaniałą uroczystością. Myślą była gdzieś daleko, może w Zyblówce, wśród swych dzieci i codziennych zajęć, które dla niej tyle miały uroku.

http://rcin.org.pl

Swemi dużemi czarnemi oczami wodziła po twarzach ludzi i zdawała się sama siebie pytać, czem oni tacy rozbawieni i ożywieni.

Ale najczęściej oczy jej spoczywały na Lenie z którą od lat dwu prawie nie rozmawiała, którą opuściła dzieckiem, a dziś spotykała ją w świecie *quasi* gwiazdę i młodą lwicę.

Nie poznawała jej, tak się hrabina już od wyścigów w Warszawie zmieniła. Jeszcze wypiękniała, a nabrała zadziwiającej prawie tak zwanej światowości, w swym sposobie bycia, do której zawsze była skłonną.

Lena promieniała życiem i rozbawieniem, zdawała się oddychać pełną piersią w właściwym sobie żywiole zbytku i światowego zgiełku.

Wystrojona, uśmiechnięta, rzucająca na prawo i lewo dowcipami i zgrabnymi frazesami, wyglądała na czystej krwi Paryżankę, jak twierdziły damy.

Mężczyźni ją otaczali, bo Lena miała reputację bardzo ciętej i dowcipnej kobiety.

Otaczały ją i kobiety, bo światowe kroniki z Ischl i Ostendy doniosły już do Warszawy, jakiego sukcesu używała tam hrabina.

Lwica *saisonu* w nadmorskiej kapuy, przyjaciółka ekscentrycznej królowej Charlotty, otoczoną była aureolą, jaką otacza głowy kobiet sukces na wielkich światowych arenach.

A Lena nadto umiała doskonale *se faire valoir*. Posądzano ją, że pozuje. I pozowała ona rzeczywiście, ale tak genjalnie, że poza znikała pod powłoką poważnej naturalności.

Kohn znalazł sposobność zbliżenia się do

http://rcin.org.pl

Marji w jednej z poświęcanych komnat i zagadnął ją:

— Patrz! co hrabina zrobiła z Leny, *quel entrain, quelle grande dame!*

Pani Łęcka uśmiechnęła się tylko, ale nim znalazła odpowiedź, Kohn zniknął porwany wirem podziwiającego tłumu

Odszukała ona Witolda, z którym przyzwyczaiła się dzielić każdą swą myśl i zagadnęła go.

— Czy uważasz, jak Lena się zmieniła. Nie poznałabym jej...

Łęcki się uśmiechnął.

— Nie znajduję — odparł — aby ta zmiana była na awantaż. Dawniej Lena była sobą, a dziś...

— Dziś? — podchwyciła Marja.

— Dziś! Dziś przypomina mi w tem i owem panią Korońską. W innem znów księżnę Rurykową, a przypomina też, co już zupełnie świeże i tę królowę Charlottę.

— Znasz ją?

— Nie, ale widziałem ją często podczas wystawy wiedeńskiej.

Gdy poświęcanie, czyli raczej obejrzenie całego pałacu rzeźbowskiego się skończyło, eleganccy goście rozsypali się po ogrodzie.

Z pierwszej chwili, w której Lena znalazła się mniej otoczoną, skorzystała ona, aby się zbliżyć do Marji.

— Tak mi się przypatrujesz — mówiła — jak gdyby jaka we mnie od wiosny zaszła wielka zmiana.

— Wypiękniałaś moja droga — odparła pa-

http://rcin.org.pl

ni Łęcka — a przypatrywałam ci się, głównie dlatego, iż chciałam się dowiedzieć, czy rzeczywiście tak jesteś szczęśliwą, jak wyglądasz.

— Więc wyglądam szczęśliwą! zawołała Lena tryumfująco.

— I bardzo! to życie zdaje ci się zupełnie odpowiadać. Ty nie wyglądasz znudzoną tym wirem, w którym bez przerwy od roku już, czy więcej, się znajdujesz.

— To cię dziwi?

— Bardzo!

— Hahaha! — zaśmiała się Lena. — Dziwi cię, że przepadam za światem, ależ ten świat, to raj! Cóżby wartało życie, spędzone w ciszy? bez emocji i ciągłych codziennych łechtań naszych namiętności. Na cóżby mi się zdała piękność, młodość, majątek, gdybym te wszystkie wielkie dane zakopała, jak ty n. p., gdzieś w głębokiej dziczy i jaśniała dla... hahaha... dla kogo? Ja zawsze żałuję, że ty taka piękna i rozumna...

— Nie żałuj, moja kochana! — przerwała Marja — szczęście często prawdziwsze...

Ale tym razem znów Lena nie pozwoliła siostrze dokończyć.

— Szczęście! — zawołała — *mais c'est une grande frase!* gdzież ono jest? Pozorami trzeba się kontentować, a pozory jego daje nam tylko świat, wielki świat! Zebyś ty wiedziała, jak to całe warszawskie towarzystwo zdaje się małem, nie eleganckiem, nie światowem, głupiem, po Paryżu, Ostendzie..

Lena dalej mówiła, a Marja jej się przypatrywała z wyrazem takiego zdumienia, że zauwa-

http://rcin.org.pl

żyła je wreszcie hrabina i przerywając swoje opowiadanie, zawołała:

— *Mais je te scandalise*! moja dobra, droga Maryniu! My się nie zrozumiemy, bo ty byłaś stworzoną na wielką cnotę, a ja... ja...

— A ty?

— Ja tylko pragnę się bawić, pragnę szumieć, błyszczeć! to moja woda..

Nastąpiło chwilowe milczenie. Obie kobiety oddalały się od towarzystwa i zagłębiały się w cienistej alei parku.

— Powiedz mi — zagadnęła pierwsza pani Łęcka — jakim sposobem zaprzyjaźniłaś się z tą królową Charlottą?

Pani Korońska parsknęła głośnym śmiechem:

— Hahaha... *tu est naïve!* gdy się młoda kobieta nazywa Korońską, gdy jest synową matki Karola, gdy nosi na sobie za pół miljona brylantów i pereł, to z kimże ma żyć w przyjaźni? *ma belle mère* miała za przyjaciółkę cesarzową Eugenję, *je puis bien avoir une reine!*

Hrabina umilkła i po chwili dopiero ciszej dodała:

— Żebyś wiedziała, jak jestem szczęśliwa że wyszłam z tego naszego towarzystwa konsulów i zbankrutowanych książąt i hrabiów, tych Paryskich i Kinszteinów, Lewiczów *et compagnie*,

Marja poczerwieniała. Zdawało się jej, że siostra mówiła o monstrualności. Odezwała się cicho:

— Ja ich lubię...

— Ja ich nienawidzę. Jeśli tu jestem, to dla rodziców, dla papy.

http://rcin.org.pl

Pani Łęcka czemprędzej dorzuciła, jakby pragnęła na ten temat obrócić rozmowę

— Ale czy uważasz, moja Leno, jak papa się zestarzał, jak wygląda zmieniony i nieswój.

— Nie znajduję.

— Nie uważałaś chyba. Wszak od wiosny posiwiał a te wypieki pod oczami, a ten twardy, niespokojny wyraz w oczach, którego nie miał

— *On dit* — podchwyciła Lena cicho *que ses affaires vont mal.*

— Tak to mówisz?

— Cóż chcesz, bym płakała? — zaśmiała się Lena — zresztą mógłby się wycofać z interesów... *ca m'embête* i ciebie także, być córką *d'un banquier, ca gête ma position...*

Marja nic nie odpowiedziała. Opuściła głowę i myślała, jakim sposobem może powstać między dwoma siostrami taka przepaść, jaką widziała między sobą a Leną. Inaczej na wszystko patrzały, inaczej myślały, a słowa Leny, ton ich, raniły serce Marji, jakby ostrzem noża.

Nie pojmowała kobiety, która przecież razem z nią się wychowała, pod jednym dachem w jednych i tych samych zasadach i wrażeniach.

Mówiła jej teraz rzeczy, które jej ściskały serce, a mówiła je tymsamym tonem tak obojętnym, jakby jej udzielała z obcego świata wiadomości.

Marja zamyśliła się nad tem wszystkiem tak głęboko, że ani się spostrzegła, kiedy powróciły pod pałac, gdzie bawiło całe towarzystwo.

Lena przyspieszała kroku. Właśnie bowiem ekwipaże powracały z dworca kolei i przywoziły do Rzeźbowa spóźnionych gości. Między nimi

http://rcin.org.pl

miała być i hrabina Korońska, która na usilne prośby synowej zjeżdżała wprost z Paryża, gdzie stale zamieszkała.

Spodziewano się, że z nią przybędzie i stary książę Pilawski, na którym Kohnowi bardzo zależało.

Towarzystwo całe różnobarwne, strojne, wyległo na pałacową terasę, aby widzieć zajeżdżające ekwipaże, jeśli nie spożnionych gości.

Pojazdy bowiem musiały harmonizować pod względem bogactwa i wykończenia z całą tą rezydencją.

Ale pospiech dobrze wyuczonej służby nie pozwalał się nikomu i niczemu dobrze przypatrzyć.

Ekwipaże zajechały pod główną bramę, w okamgnieniu wyszli z nich przybysze i zniknęli w budynku, a powozy wolnym truchcikiem przesunęły się tylko, jak obrazek, zostawiając po sobie ten elegancki klekot, właściwy pojazdom z najlepszych fabryk.

Kohn o niczem nie zapomniał, bo całą długą linję powozów i faetonów zamykały dwa londyńskie omnibusy dla służby i na rzeczy.

Szczegół ten komfortu najwięcej zastanowił zgromadzonych na terasie gości.

A Koroński, który wybiegł na powitanie matki, opuścił ją zaraz, aby lepiej się przypatrzyć tym wehikułom, których wartość i niezbędność w egzystencji wiejskiej zaraz ocenił.

Zaraz też podbiegł do Leny i szepnął jej na ucho.

— Widziałaś omnibusy? *Quel comfort!* mu-

http://rcin.org.pl

simy mieć takie w Krajkoronie, *je n'y ai pas pensé.*

— A jak to musi być dobrze dla sukien — dodała Lena — nie trzęsą się, nie mną...

— A pamiętasz — podchwycił Karol — jak to ci się w kufrze rozlała woda kolońska i poplamiła...

— Ah! pamiętam! *c'est barbare* te bryki, któremi w Polsce od kolei przewożą nasze kufry.

Dłużej nie mogli rozmawiać, bo w pałacu panował ruch nieopisany, a odgłos dzwonka, następujący zaraz po uderzeniu godziny pierwszej na wieży oznajmiał śniadanie

Wielka sala jadalna zgromadziła znów wszystkich, którzy dotąd ząbawiali się po różnych miejscowościach gmachu.

Witold ściągnął z kilkoma panami z sal bilardowej, inni przybywali z ogrodu, te z terasy, inni znów z zielonego gazonu, na którego miękim dywanie odbyła się partja krokieta.

Przy stołach zasiadło przeszło sto osób. Gwarno było, jak w ulu, a Kohn strzelał na wszystkie strony swemi oczami, w których malowało się niewymowne zadowolenie.

Śledził on wyrazy twarzy swych gości, by zmiarkować wrażenia, jakim ulegali jego goście, by odgadnąć myśli, które przez ich mózgi przebiegały.

On by był chciał być w każdym z nich i wiedzieć, co on o nim, o Rzeźbowie, o Karolu i Lenie, o starej hrabinie wreszcie myśli.

On by chciał odgadnąć znaczenie każdego uśmiechu, który dostrzegał na stu twarzach naprzemian.

http://rcin.org.pl

On by chciał podsłuchać każde słowo, poruszające wargami stu osób.

Bo, czyż kto mógł w tej chwili o czem innem mówić, czy myśleć, niż o nim i w rzeczach, jego dotyczących.

Cierpiał, cierpiał głęboko na tem, że w tym uroczystym, najświetniejszym w jego życiu dniu, nie mógł być wszędzie i równocześnie.

Jego rozpromienione oblicze jednak zachmurzało się czasami, ale na krótko, na sekundę, bo w wirze i zgiełku, żadna myśl na długo opanować nie mogła jego rozgorączkowanej wyobraźni.

Jedna Marja dostrzegała tych przelatujących chmur po promieniejącej pozornie twarzy bankiera.

Niepokoiły one ją i zatrważały, bo dobrze znała usposobienie swego ojca i nauczyła się czytać w jego oczach.

Pamiętała z dzieciństwa, jak zawsze z twarzy bankiera odgadywała, czy tam na dole, w kantorze, dobre, czy złe interesa miały miejsce.

Złe przytrafiały się bardzo rzadko, ztąd też i zasępiona fizjognomja Kohna była rzadkim i smutnym wypadkiem w rodzinie.

— Jakże to dawno, jakże to dawno temu — myślała, przypatrując się ukradkiem ukochanemu ojcu.

On się tak zmienił nie do poznania, gdzież się podziały jego spokój, jego czułość? Jakże się odmienił, skoro dziś i wczoraj nie znalazł ani chwili czasu, by pomówić ze swoją córką której dość długo nie widział.

Dziwiła się, że ani razu przez cały czas

http://rcin.org.pl

trwania śniadania na nią nie spojrzał, nie odszukał jej w tłumie. Czyżby się gniewał na nią? A uważała, że nieraz oczy jego szukały Leny i długo, długo na niej się zatrzymywały.

Marja czuła się zazdrosną, zazdrosną o ojcowskie uczucie, które zdawało się przeważać na stronę młodszej jej siostry.

Pogrążona w tych myślach, nie spostrzegła nawet jak się śniadanie skończyło.

Wychodzono tłumnie na terasę, pod którą zebrała się cała ludność dóbr rzeźbowskich, aby przynieść swemu panu wieńce z dopiero co zebranych zbóż i plonów.

Staropolska feta ludowa, zwana „wyżynkiem". miała się rozpocząć zaraz po śniadaniu.

Wszystko to było z góry urządzone i na minuty przygotowane.

Gdy wszyscy goście znaleźli się na terasie i gdy Kohn sam pojawił się przy balustradzie, zabrzmiała wiejska muzyka i odezwały się spiewy okolicznościowe.

Trzy hoże dziewczyny, ubrane w wstążki i kwiaty, weszły na terasę, niosąc w rękach olbrzymie wieńce z pszenicy, żyta, jęczmienia i owsa, i złożyły je u nóg bankiera.

Kohn wyglądał rozczulony.

Ale że wszystko w tej fecie z góry obmyślanem było, nie stało czasu na nadzwyczajne, nie objęte programem, rozrywki.

Zaraz też Karol uchwycił jednę z dziewczyn i puścił się z nią w obroty chłopskiego walca.

Dla drugiej przeznaczonym był Witold, ale właśnie w tej chwili zaginął on gdzieś i nie mogli go ani Kohn, ani Marja odszukać.

http://rcin.org.pl

Zastąpił go więc młody Lewicz, poproszony przez Kohna, bardzo niezadowolonego z tego obrotu rzeczy. On był sobie dawno ułożył, że ludowe tańce zaczną jego dwaj zięciowie.

Z kolei rzeczy dwóch parobczaków poprosiło do tańca Lenę i Marję a gdy te pary przetańczyły kilka razy do koła obszernego placu, otoczonego tłumem ludu, tańce jeneralne rozpoczęły się na dobre.

Kohn zbliżył się do Karola i silnie zirytowany zawołał.

— Powiedz sam, do czego ten Witold? *Il ne connait même pas les usages d'un gentilhomme.*

Koroński się uśmiechnął i pobiegł do dam, którym także przyszła ochota wzięcia czynnego udziału w uroczystości wyżynku.

Wkrótce stroje panów i dam pomieszały się z brunatnemi sukmanami i kwiecistemi spodnicami chłopów i dziewczyn Rzeźbowskich.

Kohn rozpromieniony przyglądał się sukcesowi swego programu, nad którego obmyśleniem tyle nocy bezsennych spędził.

Ale i w tem musiał w myśli oddać sprawiedliwość Karolowi, jego to bowiem pomysłu były i poświęcenie i wyżynek.

Podczas, gdy na gazonie pod terasą tańczono, poważniejsze osoby oddawały się innym rozrywkom.

Towarzystwo podzieliło się na kółka i rozsiało się po apartamentach i balkonach pałacu.

Wszędzie panowało życie i gwar.

Tu mężczyźni opowiadali sobie anegdoty, popijając je winem szampańskiem, przyrządzanem na najrozmaitsze sposoby.

http://rcin.org.pl

Tam znów grano w bilard, a w kilku pokojach przy zielonych stolikach szeleściały banknoty i karty.

Hrabina Korońska zaś z księciem Pilawskim i kilkoma wybranymi znawcami poprosili Kohna, aby im zechciał pokazać dzieła sztuki, których był szczęśliwym właścicielem, a których widzieć podczas poświęcenia nie mogli.

Kohn nie kazał dwa razy się prosić i to grono amatorów z nim na czele obchodziło apartamenta.

Książę Pilawski się zachwycał.

— *Mais c'est splendide, c'est magnifiqu*; — wykrzykiwał w prawdziwym entuzjazmie.

A hrabina nie spuszczając lornetki z ócz, badała szczegółowo każdy przedmiot z precyzją właściwą znawcom i amatorom.

Ona się znała na starożytnościach, sama miała bowiem bardzo piękne rzeczy.

Widząc też przepyszne bronzy i obrazy, poważniała, z właściwego amatorom poszanowania dla prawdziwych dzieł sztuki.

Korzystając z chwili, w której Kohna zagadnęła księżna Światopełkowa, obróciła się hrabina do księcia Pilawskiego i szepnęła mu na ucho.

— Bardzo piękne rzeczy... *il y a du fau* ale są i brylanty, *ça fera bien u ie fois à* Krajkorona.

— *Mais je dirai toujours* — odparł książę — *que Charles s'est tres bien marié.*

— *Une Cohn!* — westchnęła tylko w odpowiedzi hrabina i kierując swoją lornetkę na obraz, przedstawiający nagą kobietę, wychodzącą z ką-

http://rcin.org.pl

pieli, nowej szkoły, mówiła zwracając się już do Kohna — nie lubię nowej szkoły nie lubię realizmu i naturalizmu, nie lubię *les choses modernes, mais pourtant c'est bien beau.*

Kohn promieniał, lubił on bowiem prawdziwie sztukę i doznawał wielkiej przyjemności, jaką jest pokazywanie swych zbiorów rzeczywistym znawcom.

A hrabina imponowała Kohnowi. Mimo swego krótkiego wzroku, zdaleka poznawała obrazy dawnych szkół i cytowała nazwiska ich autorów.

Podczas, gdy tak zabawiało się całe ogromne towarzystwo, w Rzeźbowie na ten dzień zebrane, książę Oleśnicki siedział w oddalonym od zgiełku gabinecie z Kinszteinem.

Umyślnie wyszukali oni sobie to miejsce, aby módz swobodnie pomówić.

Obaj na pół leżeli na miękim dywanie i szeptali sobie prawie do ucha. Rysy twarzy księcia wyglądały zaniepokojone, a Kinsztein był, ak zwykle obojętny i poważny.

— Gdyby nie ten Wilhelm — mówił Kinsztein — Kohn byłby już zbankrutował. Ale wszystkie ostatnie obroty, którym firma ta zawdzięcza swoją egzystencję, były pomysłu i wykonania jej pierwszego prokurenta. Kohn od czasu, jak mu powodzenie, Korońscy .. Rzeźbów przewrócili w głowie... zniedołężniał do tego stopnia, *qu'a m'assure*, że dzisiaj prawie własnych swych interesów nie zna.

— Czyż być może? — podchwycił książę, na którego obliczu malowało się formalnie wzrastające przerażenie.

Kinsztein dalej ciągnął.

http://rcin.org.pl

— *Et je vous assure*, że na mnie Kohn czasami robi wrażenie człowieka nie przy zmysłach. *A la bourse il deraisonne quelque fois...* Ale książę wyglądasz przerażony?

— *Diable!* — zawołał Oleśnicki — mam wyglądać nieprzerażony! ależ ja mam u Kohna pięć kroć!

— Hm — mruknął Kinsztein, uśmiechając się dowcipnie — winszuję, ale nie zazdroszczę

— Jakto?

— *Ne vous effrayez pas prince*, to moje osobiste zapatrywanie... bardzo silne głowy wróżą Kohnowi iście w górę jeszcze.. co do mnie, to sądzę, *que sa tête est trop peu forte, pour resister.*

— Czemu? komu?

— Ależ Korońskiemu i Rzeźbowcwi, jeśliby wytrzymała i kolej Nadbużną i cukier.

Oleśnicki mimo przestrachu uśmiechnął się i zapytał.

— Pan wiesz, co mi ten Wilhelm za figla wystroił podczas pobytu Kohna w Karlsbadzie?

— Z Kromieryżami?

— Tak! jednego dnia puścił akcje Kohna i zamiast puścić i moje, telegrafował do mnie z zapytaniem. *J'y ai perdu...* trzydzieści — i ośm — tysięcy — rubli!

— Ależ to Kohn, nie Wilhelm! — zawołał z pewnym odcieniem radości Kinsztein.

— Nie... nie! — począł książę — Kohn był w Karlsbadzie.

— *Et vous me le dites* — podchwycił bankier, zrywając się z sofy i stając nad księciem — działo się to 18. czerwca, o godzinie ósmej wie-

http://rcin.org.pl

czór. Wilhelm kupił za sto tysięcy kromieryżskich, o godzinie dziewiątej byłem u Kohnów i rozmawiałem z Kohnem, jak z panem teraz. Dnia 19. firma Kohn wypuściła kromieryże, o godzinie 2 popołudniu, a Kohn wyjechał o godzinie 8. wieczór

— A do mnie telegrafowano dwudziestego!

— *Mais c'est bien naturel...* Kromieryże spadły już wtenczas o 25 — zaśmiał się Kinsztein.

Książę zamyślił się głęboko i strzelał niespokojnie oczami po gabinecie. Nagle zagadnął bankiera cicho i poważnie:

— Pan serjo myślisz, że Kohn *fera une culbute?*

— Ależ to zdaje się nieuniknionem.

— Kiedy?

Kinsztein zamyślił się i przeszedłszy się kilka razy po pokoju, dopiero odparł:

— Kiedy? ha... *c'est bien relatif...* Kohn ma wściekłe szczęście Któż może powiedzieć, jak długo mogą go ratować i podtrzymywać złote interesa, jakie mu same co chwila wchodzą w ręce?

Książę zerwał się z sofy i zaśmiał głośno:

— *S'il fait toujours des affaires d'or!*

Spoważniał i dodał z przekonaniem:

Ja nie wierzę w upadek Kohna. To przecież kolosalny majątek. Ten pałac *diable!* wygląda na miljonowe cacko.

— *Mais c'est sont toujours les joujoux* — podchwycił szydersko i śmiejąco bankier — co gubią ludzi.

Dłużej mówić nie mogli, bo gdański zegar, stojący w gabinecie, wydzwonił wpół do szóstej.

http://rcin.org.pl

A o szóstej miał mieć miejsce objad. po k'órym zaczynał się bal. Przed objadem wypadało się przebrać i wyświeżyć.

Książę powoli zmierzał ku swemu apartamentowi, a przechodząc przez puste już salony, bo damy oddawna oddane były toaletom, mruczał:

— Kinsztein by chciał, abym się do niego przeniósł, *pas si bête!* od dwu lat przepowiada... zazdrość!

Z uderzeniem szóstej godziny, jakkolwiek jeszcze wszechwładnie panował, dzień i słońce promieniało, w pałacu Rzeźbowskim pozapuszczano story i oświetlono salony.

Wszak przy światłach tysięcy świec jaśniej błyszczą brylanty i oczy, lżejszymi się robią dowcipy, piękniej wyglądają barwy i atłasy.

A salony napełniły się jakby w feerycznej operze tłumem kobiet, strojnych w najpyszniejsze kamienie, w jedwabie i hafty, aksamity i tkaniny.

Światła odbijały się w weneckich lustrach i żyrandolach. odbijały się też w poszlifowanych powierzchniach brylantów i szmaragdów, rubinów i szafirów.

Te apartamenta, lśniące od złota, świeże jak bombonierki, zdobne w przedmioty, wczoraj wydobyte z pak i futerałów, prześwietnie wyglądały, ożywione strojnym tłumem ludzi.

Dopiero teraz oceniało się wysokość i obszerność salonów i szczegóły ich urządzenia, gdy rzęsiste światło wdzierało się w każdy zakątek, oświetlało *algiorno* każdą klamkę i odbi-

http://rcin.org.pl

jało się w każdym drobiazgu, aż do rolek od foteli.

Otworzono podwoje od sali jadalnej, buchnęło oślepiające światło skoncentrowane na kolosalnym stole i przeglądające się w pysznych kryształach nakrycia.

Parami, z góry obmyślanemi, przechodzono do objadu.

Tu uderzał widok niecodzienny i przenoszący gości w odległą przeszłość.

Trzydziestu lokai ubranych w liberję Louis XIV. składającą się z atłasowych niebieskich fraków i białych jedwabnych spodni i pończoch, stało za krzesłami. Robili oni ogromne wrażenie w swych lśniących, kapiących złotymi galonami strojach w swych upudrowanych perukach. Podnosili jeszcze blask tej sali, w której stół i wszystko odbijało się w czterech zwierciadlanych ścianach.

Najzazdrośniejsi i najbardziej wymagający przyznali nadzwyczajność *decorum* tego niewidzianego obiadu.

Kohn sam nie spodziewał się nawet osiągnięcia podobnego efektu, który o wiele przeszedł jego oczekiwanie.

Wrażenie wywarte było tak silnem, iż dobrą chwilę wśród biesiadników głuche panowało milczenie. Każdy z tych ludzi, przywykłych wprawdzie do zbytku, czuł się oszołomiony światłem, czy nie zwykłością wspaniałości występu.

Hrabina Korońska pierwsza ochłonęła i przybliżając lornetkę do ócz i rozglądając się po sali dość głośno zagadnęła:

— *C'est splendide. On se croirait à Ver-*

http://rcin.org.pl

sailles dans la salle des glaces... Je vous felicite, monsieur Kohn, c'est splendide!

Po owych kilku słowach, bardzo na miejscu w tej okoliczności, zapanował gwar i hałas zwykły na wielkich obiadach.

A hrabina odwróciła się do księcia i dodała z dowcipnym uśmiechem:

— *Nous avons été par il fallait bien dire quelque chose... Le Louis XIV.* w naszych czasach *c'est du ridicule* i... u Kohnów.

I dalej przez dwie godziny zaledwie można było dosłyszeć swego sąsiada, taki panował gwar, powstały choćby z szeptów stu ust.

Kohn doglądał służby, migami wskazywał, komu jakiego dolać wina, komu zabrakło chleba, czy szampana.

Czarodziejski wpływ win burgundzkich i reńskich, maślaczy węgierskich, które po kilkadziesiąt lat w ciemnościach piwnic, światła, kinkietów i kryształów czekały, coraz więcej się ujawniał.

Śmiechy co sekunda głośniejsze i szezersze dowcipy coraz bardziej musujące, brzmiały to tu, to owdzie.

Godziny mijały, a nikt nie spostrzegał upływu czasu, który starczyć musiał na obniesienie ośmnastu dań wypisanych na *menus* obiadowych, sztychowanych *ad hoc* w Paryżu przez artystów.

Zapachy z bukietów różnobarwnych kamelij i róż, które stały przed każdą damą, podniecały tylko mózgi, rozgrzane winem, olśnione światłem, rozbudzone blaskiem i barwami.

Kohn tryumfował. Udało mu się wreszcie rozbawić swych gości, z których dotąd niejeden

http://rcin.org.pl

nie poddawał się tym tysiącznym pobudzającym środkom.

Teraz wszyscy zdawali mu się być w pewnej dozie szału, który jest koniecznym warunkiem każdej fety.

Nawet Witold rozchmurzył się i bawił doskonale swoją sąsiadkę, a nikt nie uważał na panią Łęcką, jedyną kobietę w tem zgromadzeniu, z której twarzy wino i światło nie spędziło pewnego odcienia troski.

Jej w uszach ciągle brzmiały słowa Leny — *ses affaires vont mal.* Wierzyła im, bo wiedziała że nikt tak, jak Koroński, nie był interesowanym w tej kwestji. A że tak było rzeczywiście, potwierdzała jej twarz matki, lubiącej zabawę i świat nad wszystko, a dnia tego silącej się, aby nie zdradzić wewnętrznego stanu swej duszy.

Oblicze Kohna już nic nie mówiło, tylko wyrażało swe głębokie zadowolenie. Popijał szampana, czerwieniał i nabrzmiewał na twarzy i cudownie uśmiechał się do gości. On był zadowolonym, jego próżność w pełni nasyconą, a rozkosz, jakiej doznawał, prześcigała nawet jego najśmielsze marzenia.

Nachylił się też do księżnej Światopełkowej, siedzącej po jego lewej stronie, i zagadnął:

— Nie uwierzy pani co to za przyjemność, co to za rozkosz, widzieć, tak, jak dziś widzę, sto rozpromienionych, uśmiechniętych, rozbawionych, weselych twarzy? Widzieć je u siebie, przy jednym stole i módz sobie powiedzieć...

— *C'est mon oeuvre!* — podchwyciła księżna.

A pani Kinsztein, siedząca o dwa miejsca

http://rcin.org.pl

dalej, która podchwyciła ten urywek rozmowy Kohna, uśmiechnęła się złośliwie i zwracając swoją ublanszowaną twarz do Bywalskiego, zagadnęła go cicho:

— *Kohn est radieu...* ale czy pan myślisz, że długo wytrzyma ten szalony *train de vie?*

Bywalski, u którego dobry obiad niepospolicie podniecał zmysł złośliwego dowcipu, odparł:

— Wytrzymałby, sądzę, tych trzydziestu upudrowanych drabów, ale, czy wytrzyma *son cher gendre...*

Tu zrobił zabawny ruch ramionami i dalej ciągnął:

— Prowadzić jeden dom a dwa, to wielka różnica, i rywalizować nadto samemu z sobą w dwu takich gmachach.

— *Que voulez vous dire?*

— Jakto? nie wiesz pani — ciągnął dalej Bywalski — że Korońscy w Krajkoronie dadzą nam jeszcze świetniejsze przedstawienie *d'opera comique?*

Pani Kinsztein serdecznie się śmiała, a Bywalski mówił.

— Stara hrabina na to tylko tu zjechała, aby widzieć, w czem można *surpasser Kohn á* Krajkorona.

— Biedny Kohn! — westchnęła pani Kinsztein, która także dużo cierpiała skutkiem wymagań swego ukoronowanego zięcia.

— Co biedny? — ofuknął Bywalski — głupi, głupi — dodał cicho prawie do ucha sąsiadki — ja żałuję tylko Łęckiego, *il payera les pots cassés.*

http://rcin.org.pl

Nagle wstano od objadu po skończonej niezliczonej ilości deserów.

Drzwi od salonów, prowadzące na terasy i werandy, stały otworem.

Wszyscy wybiegli, by się ochłodzić, bo pod koniec objadu za gorąco było w sali.

Tu nowa przedstawiła się niespodzianka. Park cały, oświetlony różnokolorowymi lampionami, piramidami ze światła i wieńcami z papierowych kul, przedstawiał cudny widok.

A wiejska muzyka dalej brzmiała. Lud jak i państwo, weselił się jadł pił i tańczył.

Transparenta z napisami zdobiły to tu to owdzie ciemne grupy drzew i jaśniały na ponurem tle świerków i lip.

Tu wznosił się napis, różnokolorowemi literami wielkości człowieka jaśniejący, „zarząd dóbr Rzeźbów swej pani.“

Tam znów świeciła gwiazda, w pośrodku której migotała elektrycznem światłem cyfra pani Kohn.

Czasu do stracenia nie było, więc podczas gdy goście pili kawę czarną i likiery w salonach i na terasach, w parku puszczano fajerwerki i race.

A jedne były piękniejsze od drugich. Rzeczywiście zaś zadziwiającą była raca, puszczona ze sadzawki, która się wzbiła pod niebiosa, a tam pękając z hukiem, utworzyła rzęsistą cyfrę pani Kohn, świeciła nią przez chwilę i rozprysła się jakby w miljardy drogich kamieni.

Okrzyk podziwu zabrzmiał w salonach i znalazł swoje echo tam dalej w parku, wśród oniemiałego z zachwytu ludu.

http://rcin.org.pl

Pani Paryska oszołomiona, odurzona, podbiegła do bankierowej.

— *Que vous êtes heureuse! que vous êtes heureuse!* — zawołała, ściskając jej ręce.

A pani Kohn uśmiechnęła się z wysiłkiem i odparła nutą smutną.

— *Vous trouvez?... certainement..*

— Cobym dała, aby módz dać taką fetę u siebie! kończyła jeszcze pani Paryska i pobiegła do okna, ciekawa, czy jeszcze coś zadziwiającego nie strzeli w powietrze.

A pani Kohn odszukała swą córkę Marję i zapytała jej cicho:

— Czemu jesteś tak smutną, Maryniu?

— A czemu mameczka nie jest wesołą? — odparła pani Łęcka, ale z takim wyrazem współczucia i czułości, że matka przycisnęła ją do serca, szeptając:

— Sama nie wiem... ale... *j'ai un mauvais pressentiment.*

— O czem?

— Sama nie wiem — odparła już niedbale pani Kohn. Uściskała córkę jeszcze i pobiegła dalej robić honory gospodyni domu.

Wreszcie zaczął się bal . . . . . .

. . . . . .

Około pierwszej godziny po północy, gdy ożywienie i szał doszły do kulminacyjnego punktu, przez tłumy tańczących skocznego mazura w kilku salonach przedzierał się z trudnością lokaj.

Szukał on oczami Kohna, a niósł na srebrnej tacy telegram.

Nikt na niego nie zwracał uwagi, a on nie mógł odnaleść pana.

http://rcin.org.pl

Wtem zoczył Kohna, jak stał we drzwiach od sali jadalnej i przyglądał się przygotowaniom do kolacji.

Pobiegł ku niemu.

Bankier zoczył go dopiero, gdy tuż przy nim stanął. Zbladł, jakby się spodziewał niemiłej wiadomości, jakby jej był pewnym. Uchwycił czemprędzej depeszę, zmiął ją ruchem nerwowym i schował do kieszeni z nadzwyczajnym pospiechem.

Nie chciał, aby kto widział, że dostawał telegram. Rozejrzał się dokoła siebie z trwogą, czy go kto nie podejrzał...

Uspokoił się dopiero, gdy mu się wydało, że nikt nim nie był zajętym.

— Ośle jeden — mruknął w pasji do służącego — obnosisz ten telegram, jak...

— Pan Pomballe tak mi kazał.

— Głupiś!

Krew okryła szkarłatem całą twarz jego, żyły mu tętniały na czole tak silnie, że go od nich głowa zabolała.

Trzymając ręką, zagłębioną w kieszeni, papier, powrócił do salonów, w których tańczono, przeszedł przez nie powoli, zatrzymując się, rozglądając i zerkając sam na siebie w gęsto porozwieszanych lustrach, aby widzieć czy jego fizjognomja nie jest przestraszającą.

Tak posuwając się i siląc na minę gospodarza, doglądającego porządku, doszedł do części mniej ożywionej apartamentów.

Tam, na końcu amfilady, znajdował się jego gabinet, w którym musiało być pusto, by go sam przymknął.

http://rcin.org.pl

Już tylko jeden pokój go odgradzał od tegoż. Kohn głęboko odetchnął. bał się. truchlał, by go ktoś w drodze nie zatrzymał, nie zaczepił. by go ktoś z rodziny nie zapytał o przyczynę wzburzenia jego rysów, które, jak myślał, musiało być widocznem.

Już był przy drzwiach, uchylił je, wszedł i zamknął na klucz za sobą.

Rozejrzał się, czy go kto nie widzi, czy okiennice pozamykane, czy portjery się nie ruszają.

Nic! — cisza panowała w oświetlonej komnacie, tylko ztamtąd, z dala, dochodziły dźwięki orkiestry chwilami głośne, tak głośne, iż się Kohnowi zdawało, że powietrze drży od nich.

Cisza — tylko czasem szyby zadrgały, posadzka zaszeleściała, gdy tam w salonach naraz razem trzydzieści par wycięło hołubca.

Tam się tak bawiono, tak ochoczo tak szalenie, a mazura prowadził Koroński, zawołany danser.

Kohn wyjął papier, otworzył go i zachwiał się na nogach, czytając:

„Koniec nieunikniony natychmiast. Wilhelm.“

On wiedział, co te słowa znaczyły. Znaczyły one, że wypadało natychmiast ogłosić bankructwo, jeżeli się chciało jeszcze wyjść z tej awantury z kawałkiem chleba i nie naruszyć paragrafów kodeksu karnego.

Stał nieruchomy na środku pokoju z otwartym telegramem w rękach, wpatrując się w litery trzech słów

Stał długo, bo kilkanaście minut, ale ten czas mu się wydał wiekiem.

http://rcin.org.pl

Krew tłoczyła mu się do głowy, rozsadzała ją.

Nagle ocknął się z uczucia bezwładności, którą w całym jego organizmie ten telegram wywołał.

Zrobił ze dwa kroki naprzód i zawołał przez zęby:

Za godzinę, ze dwie takie depesze przybędą tutaj do Kinszteina... Landesberga.

Rzucił się na kanapę i chciał myśleć, ale w żaden sposób myśleć nie mógł.

Przeleżawszy kilka minut, zerwał się, bo mu się zdawało, że krew mu uderza do głowy, że go zalewa, że go dusi, że.. kona.

Zaczął wołać:

— Gwałtu...! pomo y! ratunku!

Słowa jego obiły się o ściany pokoju, zginęły w ciszy.

Kohn sam się ich przestraszył. Nadsłuchiwał, co to, czy kto nie przybywa, czy... nic! w gabinecie było cicho, tylko wciąż dolatywały doń skoczniejsze tempa mazura.

— Zwarjowałem!—zamruczał—a!... gdybym mógł zwarjować...

Wstał i zaczął biegać po pokoju, ale wyobrażenia jego szalała, nigdzie utwierdzić się nie mogła, przenosiła go do Warszawy do kantoru, to do sali balowej, to nad stół jadalny.

I znów mu się zdało, że mu się ćmi w oczach że wszystko w około niego się kręci, że pałac się wali, że kinkiety spadają, a ściany się roztwierają.

Zatoczył się po dywanie i krzyknął na cały głos zachrypnięty, z głębi piersi mimowolnie się wydobywający:

http://rcin.org.pl

— Gwałtu!

Stanął jak wryty. Śmiertelna bladość okryła twarz jego. Ten krzyk musiał być usłyszanym — myślał i drżał na całem ciele. Ale i tym razem nic nie dosłyszał, tylko ramtamtam ramtamtam orkiestry i kilkudziesięciu nóg.

Wybiegł drugiemi drzwiami i jak szalony dopadł pokoi, w których się mieściły kuchnie, izby służby, kredensy itp.

Nawinął mu się pierwszy stróż pałacowy, jego też uchwycił za ramiona i wzrok obłąkany wlepiając w niego, cedził:

— Słuchaj! biegnij do stajni. Niech w tej chwili zajedzie powóz. Nikomu nie mów, kto ci kazał, nikomu, żeś mnie widział

Stróż pobiegł, a Kohn wrócił, nałożył na frak palto, które sam wyjął ze szafy i wyszedł pustym korytarzem, prowadzącym na dwór.

W ogrodzie jeszcze oświetlonym, lud się bawił i tańczył. Lampy różnokolorowe, lampiony, transparenta gasnęły to tu, to owdzie i robiły smutne wrażenie. Kohn bezmyślnie szedł ku stajniom, a ludzie mu na drodze się rozstępowali, osłupiałe oczy w niego wlepiając.

Bankier robił wrażenie warjata.

Powóz zajeżdżał, zatrzymał go Kohn w pośrodku alei prowadzącej pod pałac, wskoczył do pojazdu i zawołał:

— Nawracaj! na kolej!

* * *

Jeszcze kolacji nie podano, a mazur miał się ku końcowi, gdy hrabina Korońska zbliżyła się do syna i biorąc go na stronę, szepnęła:

http://rcin.org.pl

— Coś się tu dzieje! czuję w powietrzu katastrofę.

— Co? — wybełkotał przerażony Karol.

— Nie! Wiesz? ja mam oko! czuję katastrofę. Kohn dostał depeszę.. widziałam... nie ma go już od pół godziny.

Karol bladł w oczach i trząsł się. On na piętnastego potrzebował dwunastu tysięcy, to tylko mu stało w głowie. a hrabina dalej mówiła:

— Idź przekonaj się, *parc que, si c'est la débacle*, to ja nie mam ochoty być na niej... wyjechalibyśmy zaraz.. na poranny pociąg

Karol, który ochłonął, zawołał:

— Ależ *c'est impossible vous vous imaginez.*

— Już mi wierz — dodała hrabina — ja słyszę, jak trawa rośnie. *Napoleon le disait toujours.*

Uśmiechnęła się z wysiłkiem i oddaliła się od syna.

Koroński odszukał Lenę, pociągnął ją do pierwszego pustego gabinetu i tu cicho jej szepnął:

— *A ce qu'il parait*, coś się tutaj dzieje. Mama twierdzi, że koniec. Idź! dowiedz się: *si c'est vrai*, to zaraz wyjedziemy.

Lena zbladła, oczy jej zabłyszczały jakby złością

Tu parle des bêtisses! — zawołała.

— Idź i przekonaj się — odparł szorstko hrabia — bo nie mam ochoty być świadkiem skandalu.

— Jakiego skandalu? — zapytała Lena, wytrzeszczając osowiałe oczy.

— Ależ bankructwo podczas balu! — wy-

http://rcin.org.pl

cedził jej do ucha dobitnie Karol, popchnął ją brutalnie, jakby mu pilno było, by ruszyła na zwiady.

Lena, zakrywając twarz wachlarzem ze strusich piór, powróciła do salonów, rozglądając się dokoła

Szukała matki, Marji, Witolda, ojca. Nikogo z nich nie widziała, tylko zauważyła ogólne pomięszanie pochodzące ztąd, że mazur się skończył, a nie meldowano kolacji.

— *Le souper est de retard grand Dieu!* — szepnęła z uśmiechem do Swiatopełka, który się znalazł na jej drodze i przyspieszonym krokiem zmierzyła ku pokojom matki.

Drzwi od nich zastała zamknięte od wewnątrz. Zapukała więc.

— To ja, Lena! mówiła.

Marja otworzyła jej i Lena stanęła w pokoju, jak wryta.

Na szezlongu leżała pani Kohn bez zmysłów i spazmatycznie tylko łkała.

Nad nią stali Witold i Marja.

— Co to? — zawołała Lena.

— Przyszła jakaś depesza, ojciec wyjechał — odparła Marja.

Obróciła się do Witolda:

— Idź! niech podają kolację ja przy mamie zostanę.. trzeba... — wypowiedziała urywkowo z wysiłkiem.

Łęcki ją pocałował w czoło i wybiegł, a Marja wzięła się do cucenia matki.

Lena stała długo w miejscu, jak skamieniała. Nie mówiąc słówka, przypatrywała się to matce, to Marji.

http://rcin.org.pl

Wreszcie odezwała się do siostry:

— Co to? wytłumacz mi.

— Albo ja wiem — odparła pani Łęcka.

— Może bankructwo?

— Pewnie.. tak Witold twierdzi! — wyszeptała Marja.

Pani Korońska na te słowa wybiegła z pokoju i pospieszyła do pustych salonów, w których już nikogo nie było, bo goście poszli na kolację.

Czekała na nią tylko hrabina

— Co? — zapytała z cicha.

— *Partons! partons!* — zawołała w odpowiedzi Lena i obie wybiegły z salonów do przedpokoi, w których stał kozak hrabiny

— Słuchaj! — zawołała doń matka Leny — wyjeżdżamy na ranny pociąg. Zdaje się już czas!

http://rcin.org.pl

VII

Minęły dwa dni.

Pałac Kohnów wyglądał ponuro, bo bramy pozamykano a pozapuszczano story w wielu jego oknach.

Nadto okna dolne, dające światło kantorom i kasom, za unięte były okienicami i żelazne białe kraty odbijały więcej, niż zwykle.

A cała ulica wzdłuż pałacu wysłana grubo słomą, tak, iż nic nie było słychać turkotu pojazdów, ani ruchu wielkomiejskiego

Wewnętrzny wygląd gmachu odpowiadał jego powierzchowności.

W kantorach panowała cisza i pustka, bo podwoje, kilka dni temu lśniące swemi ogromnemi szybami szklanemi, zasunięte były żelaznemi blachami, pokrytemi gwoździami i sztabami.

Tylko na schodach, prowadzących na pierwsze piętro, nic się na pozór nie zmieniło. Na pozór tylko, bo w westibulu przy swem biurze siedział Pomballe, siłą przyzwyczajenia tylko do swego miejsca przykuty.

Siedział zamyślony, poziewał wciąż, bo nikt nie nadchodził, nikt go o nic nie pytał, ani on

http://rcin.org.pl

też nic do rozkazywania nie miał.

W pałacu nie uwijała się zgraja lokai, tylko wszechwładnie panowała cisza, niczem nieprzerwana, ponura, głucha, cisza, właściwa wnętrzom pałaców, nawidzonych nagle przez katastrofę.

Tam w swej sypialni, ozdobionej wesołemi malowidłami, wybitej atłasami, na swem weneckiem łożu pod baldachinem z lionskiej tkaniny dogorywał Kohn.

Nie mógł już ruszyć ani ręką, ani nogą, bo paraliż je ubezwładnił, nie mógł myśleć, bo mózg jego się rozmiękczył, nie mógł mówić, bo język już zdrętwiał.

A w gabinecie jego, przyległym do sypialni, czekano, aż doktor, przebywający przy umierającym, uchyli drzwi i powie:

— Już!

Nie było mowy o ratunku, o pomocy, nie było ani iskierki nadziei.

Kohn przybywszy z Rzeźbowa i zastawszy, podwoje od kantorów zasunięte żelaznemi płytami, upadł na ziemię bez zmysłów.

Gdy go docucono, już stracił zmysły i władzę, już był trupem, w którym jeszcze krew obiegała żyły.

Paraliż szedł dalej, szedł z niewidzianą szybkością. Czekano tylko chwili, w której dojdzie do serca i uśmierci to źródło życia.

W gabinecie znajdowali się pani Kohn Marja i Witold.

Żona bankiera wyglądała przybitą nieszczęściem, lecz moralnie silną.

Siedzieli oni wszyscy skupieni przy drzwiach prowadzących do sypialni Kohna i zdawali się

http://rcin.org.pl

czegoś oczekiwać z niezwykłą niecierpliwością.

Ale oczy ich nie kierowały się ku drzwiom od sypialni, owszem częściej spoczywały na portierze, po za którą kryło się wejście, prowadzące z kantorów i biór.

Ztamtąd miała im przyjść jakaś gorąco oczekiwana wiadomość, która im zapierała oddech w piersi, wstrzymywała bicie serca.

Pani Kohn co chwila łzy stawały w oczach, łzy tak straszne swą grozą, w spokoju ich leżącą, że Witold czuł się na widok ich do głębi wzruszonym.

— Niech matka się uspokoi — mówił — Bóg da, wszystko pójdzie dobrze.

— Ah, mój Witoldzie! — odezwała się kobieta głosem zbolałym — niech wszystko przepadnie, niech mi nie zostanie na kawałek chleba, ale byle mnie nikt nie przeklinał...

Urwała i zalała się łzami.

Wtem zadrgała portjera, lekko się odsunęła i wszedł Wilhelm.

Stereotypowy uśmiech zniknął jego twarzy, a zastąpił go wyraz myślący i poważny.

Śmiało podszedł ku zgromadzonym, usiadł i zaraz tak zaczął.

— Nie cofam mojego powiedzenia i gwarantuję za powodzenie mej kombinacji.

— Ah! panie! — podchwyciła bankierowa, wtapiając w niego swe oczy — czyż możemy mieć do pana zaufanie, czyż możemy?...

Wilhelm przerwał jej mówiąc:

— Pani! tu chodzi tak dobrze o panią, jak o mnie. Nikt, tylko ja mogę was wyratować, bo ja tylko znam interesa...

http://rcin.org.pl

Tu Witold westchnął tak ciężko, że Wilhelm urwał i obracając się do niego, zawołał:

— Musicie mieć do mnie zaufanie, a ażeby je uzyskać, jestem zmuszony wam powiedzieć to, czego jeszcze nie wiecie Firma nasza mogła jeszcze istnieć miesiąc, dwa.. trzy...

Osłupienie zamalowało się na twarzach słuchających, a Wilhelm dalej ciągnął:

— Jednakże potem byłaby nastąpiła katastrofa sto razy groźniejsza, niż dzisiejsza, i niebyłoby już wyjścia, które jest dzisiaj

Tu Wilhelm zniżył głos i obracając się do Witolda, wyszeptał:

— Pryncypał naruszył depozyt dwa kroć sto tysięcy, gdy ostatni raz kasa miała być niewypłacalną.

Pani Kohn krzyknęła z przerażenia, a Wilhelm czemprędzej dodał:

— Pani! proszę o siłę. Ten depozyt był pani Samuelowej Kohn, ale gdybym był nie ogłosił przedwczoraj kredy, czy wczoraj pryncypał?...

Witold przerwał Wilhelmowi, bo wstał i wyciągając do niego swą dłoń zawołał:

— Mów pan! od tej chwili pan ratuj honor firmy, skoro uratowałeś honor pryncypała.

Obrócił się do bankierowej, płaczącej rzewnemi łzami i dodał:

— Matko! zrobimy to, co za stosowne zrobić uzna ten człowiek.

Usiadł i czekał. Po chwili Wilhelm zaczął:

— Nie ma czasu na opisy i tłumaczenia. Chcę was i siebie ocalić i oto projekt. Jeśli mi dacie w ciągu trzech dni od tej chwili, miljon dwa kroć, firma nikogo nie zarwie, a likwidacja

http://rcin.org.pl

wykaże plusów nietylko ten miljon dwakroć, lecz też i... więcej

— Miljon dwakroć! — zaśmiała się nerwowo pani Kohn.

— Ten miljon dwakroć znajdę, jeśli zechcecie mi wierzyć.

Głuche nastąpiło milczenie, które po głębokim namyśle przerwał Witold słowami:

— Mów pan!

Wilhelm wyjął karnet z kieszeni, otworzył go i czytał, zwracając się do bankierowej:

— Srebra i kosztowności pani uczynią dwakroć sto tysięcy, trzykroć pozostało pani jakby gotówką dobrych hipotek po zabezpieczeniu pani Łęckiej posagu, opartego na jej majątku..

— To pięć — podchwyciła pani Kohn — a siedm?

— Siedm — odparł Wilhelm — siedm dadzą mi gotówką, czy hipotekami pan Łęcki i hrabia Koroński...

Witold spąsowiał, po chwili namysłu jednak odezwał się do buchaltera:

— Ale tak te siedmkroć, jakoteż i te pięć, powinniśmy uważać?...

— Za poświęcone dla uratowania firmy — podchwycił prędko Wilhelm sądzę, że je wycofam, lecz ręczyć za to, wobec likwidacji i spadku jeneralnego, byłoby szaleństwem.

Znów zapanowało milczenie, które i tym razem przerwał Łęcki, obracając się do żony:

— Maryniu! wypada na ciebie trzykroć pięćdziesiąt. Tyle masz właśnie z łaski matki na jej hipotece Nic słuszniejszego, jak żebyś je dała do rozporządzenia matce.

http://rcin.org.pl

Pani Łęckiej łzy tylko stanęły w oczach. Nie mogła mówić, lecz się uśmiechała na znak przyzwolenia.

A pani Kohn, zalana łzami, wołała:

— Nie chcę, nie chcę!

Ale nikt na nią nie zważał. Witold zwrócił się do Wilhelma i mówił:

— Wierzymy panu, bo jakże nie wierzyć, gdy pan masz tyle wiary w siebie, że zabierasz ostatni grosz, ot za chwilę, wdowy .. i majątek mych trojga dzieci...

Uratuję honor firmy, nikt na niej nie straci grosza, za to ręczę!

— To dosyć! — przerwał Łęcki — działaj pan!

Wilhelm wstał.

— A hrabia Koroński? — zawołał.

— Co tylko ich nie widać — odparła pani Kohn — jeśli pociąg popołudniowy już przyszedł, to może już są.

Wilhelm spojrzał na zegarek i mówił gorączkowo:

— Zaczekam więc.. hrabia ma dobre hipoteki na Krajkoronie, czysty jest też pałac w Warszawie. Wypadnie — ciągnął on, zwracając się do Marji — abyś pani dziś jeszcze rejentalnie na rzecz firmy przepisała tę sumę. Plan mój dokładniej wieczorem przedstawię panu, panie Łęcki — kończył, obracając się do Witolda.

Wtem drzwi się uchyliły od sypialni bankiera i stanął w nich doktor, szeptając:

— Już... chodźcie!

Obie kobiety zaszlochały i rzuciły się ku

http://rcin.org.pl

drzwiom od sypialni, w której ostatnie tchy życia wydawał z siebie Kohn.

Rzuciły się ku łożu i uklękły przy nim, zanosząc się od łez.

Za niemi chciał podążyć Witold i Wilhelm. Ale w chwili, gdy stanęli we drzwiach, zatrzymał ich lokaj, przynoszący na tacy depeszę.

Łęcki się cofnął.

— Cóż to — zawołał, biorąc papier — pociąg przyszedł?

— Przyszedł — odparł lokaj — ale państwo nie przyjechali.

Rozerwał depeszę, choć była ona adresowaną do pani Kohn i przeczytał.

— „*Nous ne pouvons pas venir. Lena souffrante. Koroński*".

Łęcki zapomniał, że tam o kilka kroków kona Kohn, zaśmiał się nerwowo i głośno i upadając na fotel zawołał:

— Cóż za łotr!

Wilhelm pobladł, jak ściana. Jego genialnie obmyślany plan uratowania firmy, którą lat dziesięć prowadził, dla której poświęcił konającego Kohna, natrafiał na nieprzewidziane szkopuły.

Rzucił się też na krzesło, jakby upadając ze zmęczenia i zwątpienia i wyszeptał:

— Tego nie przypuszczałem... on wybrał miljon...

A wśród ciszy rozległo się chrapliwe długie westchnienie

W tem Marja wbiegła do gabinetu i zawołała:

— Lena! nie ma jej? Lena! ojciec Leny oczami szuka...

http://rcin.org.pl

Nikt jej nie odpowiadał, bo równocześnie pani Kohn wydała straszny, rozdzierający krzyk boleści.

Towarzysz trzydziestu lat jej życia, jakby na ostatnią sekundę odzyskał przytomność i władzę, szukając jej dłoni, westchnął i ducha wyzionął.

http://rcin.org.pl

VIII

Z pod pałacu Kohna rusza karawan, zaprzężony paroma końmi.

Ludzie przywykli do szalonego zbytku bankiera, dziwią się tej skromności pośmiertnej.

Za trumną postępuje rodzina, nielicznie reprezentowana, bo Witold prowadzi tylko wdowę bankiera, a Wilhem starą i zdziecinniałą matkę.

Ostoja podaje rękę Marji Łęckiej. Za nimi dopiero kroczą znajomi i przyjaciele.

Jakże ich mało, ani połowy, ani części tych, którzy przed paru dniami jeszcze napełniali salony Rzeźbowa!

Kroczy wprawdzie książę Oleśnicki, a za jego ogromną postacią, jakby się krył, idzie Bywalski.

Są i Kinszteiny i Landesbergi. Idą również i inni bankierzy i znajomi, których nigdy się nie widziało na objadach i balach Kohnów.

Ale gdzież się podziały te tłumy, które tak niedawno temu śmiały się i bawiły w Rzeźbowie?

Skromny ten orszak żałobny zamykają powozy.

http://rcin.org.pl

Jest ich dużo, bardzo dużo, o wiele więcej, niż ludzi.

Czy przyjaciele, których Kohn miał tylu, tylu, że miejsca dla nich nie starczało w gobelinowej sali jadalnej, siedzą w tych karetach?

Nie! pojazdy te są puste, tylko furmani i lokaje ziewają na kozłach i nudzą się śmiertelnie. Oni nie lubią pogrzebów bankrutów, jak i ich panowie. Pocieszają się wzajemnie, że nudy nie potrwają długo, bo mają rozkaz powrócenia do domu, skoro tylko przeprowadzą zwłoki przez ożywioną ulicę.

Przecież tyle należało się Kohnowi za miljony, które dla nich stracił!

Kondukt kroczy poważnie.

Ludzie zatrzymują się na ulicy i pytają:

— Czyj to pogrzeb?

— Kohna!

Ta odpowiedź wywołuje osłupienie na najobojętniejszych twarzach.

Przekupnie i włóczęgi stają na chodnikach i pytają sami siebie, czy to opłaci się mieć miljony, wydawać krocie, jeśli się tem nie zyskuje — przyjaciół?..

Ostoja nachyla się do Marji.

— Korońskich nie ma? — pyta.

— Nie ma! — opowiada cicho wśród łkania siostra ukochanej przez ojca córki.

Twarz starego hrabiego okrywa rumieniec, czy wstydu, czy złości, może obojga razem.

A Bywalski zbliża się do Kinszteinów i szepce:

— *Saver vous? le scandale est trop fort.* Nie ma Korońskich, *passe!* ale niema i Lewi-

http://rcin.org.pl

czów, nie ma Paryskich, nie ma Światopełków! Nie ma całego *high lifu*.

— Gdyby był, to by nie był *high lifem* — odpowiada cicho Kinsztein — przecież teraz już im się na nic nie zda. *Ça ne m'étonne pas...* A córka...

A Oleśnicki zagaduje Landensberga.

— Mówią, że likwidacja nie wykaże minusów, że nikogo... nie zarwie.

— Tak się zdaje — odpowiada wielki bankier — passiwa, któreby fatalnie wpłynęły na przebieg likwidacji, już pokryte. Jest to ostatni *meisterstück* Wilhelma, bo te passiwa wynosiły miljon i dwakroć!

— Jakże to? — pyta zdziwiony książę.

— Pani Kohn oddała kosztowności aż do szpilki, a Łęcki siedmkroć sto tysięcy...

Książę przystaje w osłupieniu.

— Czyż on taki bogaty? — pyta.

— Nie! na kartę postawił cały swój majątek... hahaha... *il s'est bien marié*...

Książe nic nie odpowiada, tylko zamyśla się głęboko; po chwili nachyla się do Landensberga i znowu szepcze:

— Nie pamiętam nawet tego Łęckiego, jest tutaj? pokaż mi go pan...

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

(Koniec tomu II. i ostatniego.)

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

F
22.271